

Politechnika Krakowska im. Tadeusza Kościuszki
Uniwersytet Trzeciego Wieku
Centrum Pedagogiki i Psychologii

Barbara Ciaputa

Zapiski z tułaczki wojennej

Epizody z życia



Kraków 2014

PRZEWODNICZĄCY KOLEGIUM REDAKCYJNEGO
WYDAWNICTWA POLITECHNIKI KRAKOWSKIEJ
Jan Kazior

REDAKTOR WYDAWNICTWA PK
Barbara Korta-Wyrzycka

SKŁAD I ŁAMANIE
Adam Bania

Wydawnictwo specjalne pod patronatem
JM Rektora Politechniki Krakowskiej

© Copyright by Politechnika Krakowska, Kraków 2014
© Copyright by Barbara Ciaputa, Kraków 2014

ISBN 978-83-7242-764-9

Wydawnictwo PK, ul. Skarżyńskiego 1, 31-866 Kraków; tel.: 12 628 37 25, fax: 12 628 37 60
e-mail: wydawnictwo@pk.edu.pl □ www.wydawnictwo.pk.edu.pl
Adres do korespondencji: ul. Warszawska 24, 31-155 Kraków

Druk i oprawę wykonano w Dziale Poligrafii Politechniki Krakowskiej.

Słowo wstępne JM Rektora PK



Ile człowiek jest w stanie znieść? Jakie są granice niepewności, strachu, cierpienia i bólu? Jakie są granice odporności psychicznej i fizycznej? Ile jesteśmy w stanie przeżyć, by przetrwać? Czytając wojenne wspomnienia pani Barbary Ciaputy, stawiamy sobie egzystencjalne pytania i próbujemy znaleźć na nie odpowiedzi. Kompletnych nie sposób oczekiwać, bo mimo wielu nieludzkich przeżyć bohaterki, owe granice nie zostały przekroczone. Taka refleksja nasuwa się podczas rozmowy z Autorką.

Jej wspomnienia to lektura szczególnie wartościowa, bo oparta na osobistym wstrząsającym świadectwie. Poznanie Autorki zmusza do kolejnych pytań. Skąd u Niej – po tym wszystkim – tyle pogody ducha? Skąd ten wewnętrzny spokój i ciepło, którym emanuje w każdym miejscu i w każdym czasie?

Podziwiam wytrwałość, siłę osobowości, podziwiam spokój i życzliwość. Życzę, aby dalsze – oby jak najdłuższe – lata były choć minimalną rekompensatą za te doświadczenia, które były Pani udziałem. Tym wszystkim, którzy mają możliwość osobistego spotkania z panią Barbarą życzę owocnej refleksji nad losem w pokorze wobec tego, co może zgotować. Wierzę, że takie spotkanie może stać się inspiracją do niesienia przesłania o człowieku niezłomnym.

Wszystkim polecam książkę Pani Barbary Ciaputy. Będzie interesująca dla tych, którzy czasy wojny znają z opowieści dziadków czy rodziców, ale i dla tych, którzy tamte czasy poznali tylko podczas lekcji historii. Powinni do tej lektury sięgnąć szczególnie ci, którzy narzekają na obecną rzeczywistość. Trudno mieć do nich pretensje, mogą sobie pozwolić na stosowanie innego poziomu odniesienia. Dla „etatowych” malkontentów tym bardziej to lektura obowiązkowa. Życzę, by była pouczająca, choć wiem, że nie będzie łatwa, bo to konfrontacja z faktami, które wyciskają łzy z oczu.

Prof. dr hab. inż. Kazimierz Furtak

Basienice z
Meszchedu ichi za
tak iyo - namig tam,
bo zaron ja puko chelam
Iestem sreczylony
ze iyer i iyer
w Polsce

catuje cie jak
bardzo stary
Kochaja cie w ujebal
I bel ez npski

Dedykacja Józefa Czapskiego z 1988 r.



Basieńce z Meszchedu, którą tak żywo pamiętam, bo zaraz ją pokochałem. Jestem szczęśliwy, że żyjesz i żyjesz w Polsce. Całuję Cię jak bardzo stary kochający Cię wujaszek – Józef Czapski. Taką dedykację wpisał mi autor *Na niehumanitarnej ziemi*, którą to książkę otrzymałam w 1988 roku.

Tuż przed wojną w 1939 roku moja rodzina Dymnickich mieszkała w Brzeszczach koło Oświęcimia. Tata Bolek, mama Halinka i dwie maleńkie córeczki: siedmioletnia Basia i ośmiomiesięczna Jagódka. Dobrze i spokojnie nam się żyło. Tata był naczelnikiem miejscowej poczty, mama zajmowała się domem i rozpieszczaniem swoich pociech. Czasy nie były jednak spokojne. Nie bardzo wiedziałam, dlaczego rodzice i ich znajomi stale z wielką uwagą słuchali radia (nie pozwalali wtedy hałasować) i dyskutowali zażarcie. Myślałam już o szkole, do której miałam zacząć uczęszczać po wakacjach i wcale nie interesowały mnie wiadomości z radia, czy też rozmowy dorosłych.

Zbliżało się lato, ale tym razem zupełnie nie mówiło się o wyjeździe na wakacje nad morze, tylko wałkowano jakieś tematy niemieckie. Wreszcie któregoś dnia, a był to już lipiec, przyszedł list od wujka Zygmunta Wielowiejskiego z Polesia. Wujek Zygmunt był najukochańszym starszym bratem mojej mamy. W liście tym było serdeczne zaproszenie do spędzenia reszty wakacji u nich na poleskiej wsi. Tata nie miał urlopu, nie mógł więc wyjechać, ale my z mamą byłyśmy na to gotowe, a zwłaszcza ja przyjąłam tę propozycję z wielką radością. Cieszyłam się bardzo na możliwość zobaczenia wsi, na spotkanie z wujkiem i jego rodziną. I tak oto rozpoczęła się...

Epizod poleski



Tato wsadził nas do pociągu, którym jechałyśmy chyba dość długo, ale, prawdę mówiąc, niewiele z tej podróży pamiętam. Byłam tym wszystkim bardzo podniecona, ale też i zmęczona. Wiem tylko, że w pociągu był wielki tłok. Gdy przyjechałyśmy do Dawidgródka, było już ciemno. Bagażu nie miałyśmy dużo, tylko podręczne rzeczy, bo resztę miał przysłać tata. Moja biedna mama z dwójką rozespanych dzieciaków i tak nie dałaby sobie rady z dużymi walizami. Wysiadłyśmy więc na peronie w Dawidgródku i byłyśmy zdumione, że to można nazywać peronem. Ciemno, pusto, no i trochę straszno, ani śladu wujka, który miał po nas przyjechać. Stałyśmy tam samiutkie, jak biedne sieroty, nie wiedząc co ze sobą począć, aż wyszedł do nas zawiadowca stacji i wtedy dopiero okazało się, że wujek był, ale ponieważ pociąg miał duże spóźnienie, więc wrócił do domu do Wielemicz. Mama była zrozpaczona, co tu teraz począć?

Na szczęście zawiadowca dobrze znał wujka i zaopiekował się nami. Najpierw zaprowadził nas do szynku, gdzie dano nam coś jeść, no i było jakoś przytulniej, paliły się lampy naftowe, które widziałam po raz pierwszy w życiu, a szynkarz, Żyd był również znajomym wujka.

Po chwili obaj nasi „opiekunowie” załatwili jakimś cudem wóz z koniem, załadowali nas na ten wspaniały pojazd i ruszyłyśmy w dalszą drogę. Jechałyśmy po okropnie wyboistej wiejskiej drodze. Trzęsło niemiłosiernie, wokoło ciemno choć oko wykol, a z Poleszukiem wóznicą nie dało się pogadać, bo nic go nie rozumiałyśmy, mówił bowiem po białorusku. Tę nocną ciszę, przerywały tylko z oddali dochodzące dźwięki bamboty pasącego się bydła i dzwonienie dzwoneczków naszego konia. Bałyśmy się, okropnie, kurczowo przytulałam się do

mamy, a ona sama pewnie była przerażona całą sytuacją. Po przejechaniu kilku czy kilkunastu kilometrów, stanęliśmy wreszcie przed szkołą we wsi Wielemicze, czyli byliśmy w domu.

Wspaniałe były te wakacje. Nareszcie pełna swoboda. Całymi dniami szalałam, nie zwracając uwagi na to, że się ubrudzę, biegałam, aż do utraty tchu i do zupełnego zapamiętania się.

Mokłam na deszczu, taplałam się w kałużach, jednym słowem robiłam wszystko to, czego dotychczas surowo mi zabraniano. Nie musiałam się pięknie ubierać, żeby wyjść na dwór, a czasami, jak mama nie widziała, biegałam boso naśladując miejscowe dzieci, z którymi zresztą szybko się zaprzyjaźniłam. Chodziłyśmy z mamą na spacerzy nad rzekę i do wsi. Z wujkiem jeździliśmy w odwiedziny do znajomych. Była to zawsze duża atrakcja, bo nie dość, że jechaliśmy bryczką, a wujek pozwalał mi siadać na koźle, to jeszcze zwiedzaliśmy sąsiednie wsie i okolice. Ja byłam szczęśliwa ponad miarę, a tylko mama była jakaś smutna. Dorośli stale słuchali radia i dyskutowali bez końca.

Wreszcie wakacje zbliżały się do końca, a my zaczęłyśmy się szykować do powrotu i wtedy zadzwonił tato z propozycją, żebyśmy jeszcze trochę zostały u wujostwa. Tłumaczył, że Brzeszcze są bardzo blisko granicy z Niemcami, a wieści dochodzące stamtąd są bardzo niepokojące. No i stało się – pierwszego września 1939 roku rozpoczęła się wojna. Tato jeszcze zdążył zadzwonić, żebyśmy się nie ruszały z Wielemicz, że dwa kosze z rzeczami już wysłał, a sam będzie się starał jak najszybciej do nas dołączyć. Musi jednak czekać, aż dostanie zezwolenie od swoich zwierzchnich władz, na opuszczenie placówki. Mama tonęła we łzach, a ja prawdę mówiąc nie bardzo zdawałam sobie sprawę z powagi sytuacji i tylko bardzo chciałam, żeby tato był już z nami. Coraz groźniejsze wiadomości dochodziły z głębi kraju, ale u nas na tej zapadłej wsi był spokój. Rozpoczął się nawet rok szkolny, no i ja oczywiście zasilłam szeregi pierwszoklasistów. Zupełnie inaczej wyobrażałam sobie rozpoczęcie edukacji, no ale trudno, tak się jakoś porobiło. Mama stale po kątach płakała, nie wiedząc, co z tatą, rzeczy wysłane nie nadchodziły, pieniądze się kończyły, a ciotka coraz częściej dawała do zrozumienia, że im ciasno i przydałoby się, żebyśmy się wyprowa-

dziły. Wprawdzie wujek nie chciał o tym nawet słyszeć, ale to przecież ciotka była gospodynią w tym domu, a dokładnie mówiąc jej matka, czyli teściowa wujka. Do ciotki w ogóle nie pałam wielką miłością, zwłaszcza od czasu, gdy mnie zawstydziła w klasie przy wszystkich dzieciach. Były to jakieś kłopoty z Alą czy Olą nieprawidłowo napisane na tablicy. Syn wujostwa Boguś był o dwa lata młodszy i bardzo rozpieszczony, więc nie bardzo dało się z nim bawić, o co wszyscy mieli do mnie pretensje. Ja zdecydowanie wolałam uganiać się z wiejskimi dziećmi. Na całe popołudnia znikałam z domu, wracałam dopiero jak zaczynało się ściemniać, głodna i niemiłosiernie brudna.

Po jakichś dziesięciu dniach od wybuchu wojny pojawił się nasz biedny tato. Zmęczony, sponiewierany okrutnie, ale cały i zdrowy. Powitaniom nie było końca. Opowieściom, o tym jak przedzierał się do nas również. Sprawa wcale nie była taka prosta, bo pociągi już nie kursowały, a tysiące ludzi uciekało przed wojną i Niemcami na wschód. Właściwie prawie całą drogę odbył pieszo. Tylko od czasu do czasu, za duże zresztą pieniądze, udawało mu się gdzieś kawałek przejechać. Nocował byle gdzie, najczęściej w stodołach. Oczywiście ci nieszczęśni wędrowcy starali się trzymać w większej gromadzie, bo o kradzieże, rabunki czy nawet morderstwa nie było trudno.

Ledwo tato trochę odpoczął, rodzice pojechali do Lwowa z nadzieją, że uda im się kupić trochę ciepłych ubrań na zimę. Nasze wysłane kufry przepadły bowiem bez śladu. Realizacja zamierzenia okazała się jednak bardzo trudna, bo nikt nie chciał już nic sprzedawać w tych niepewnych czasach. Mnie dostał się płaszcz gimnazjalny granatowy (z niebieskimi wypustkami) uszyty z grubego materiału, o co najmniej cztery rozmiary za duży, no ale był. Rodzice wynajęli na wsi chałupę, dopiero co wybudowaną, jeszcze niezamieszkaną i wyprowadziliśmy się od wujostwa. Chałupa była zbudowana z bali sosnowych, nowiućka i pięknie pachnąca drewnem. Składała się z sieni i dwóch izb. W jednej spaliśmy, a w drugiej większej był ogromny piec kuchenny, stół i ławy, wszystko z surowego drewna. Była tam jeszcze komora, w której przechowywało się żywność. O żadnej łazience nie było mowy, a ubikację zastępowała stodoła (po prostu chodziło się za stodo-

łę). Dom dookoła otaczała przyzba, na której wieczorami siadywało się dla pogawędki z sąsiadami. Miała ona jeszcze inne zastosowanie, ale o tym przekonaliśmy się znacznie później.

Cieszyliśmy się bardzo naszym nowym gospodarstwem, chociaż było ono takie skromne. Nie mieliśmy, przecież dosłownie nic ani garnków, ani pościeli, ani pieniędzy na jedzenie. Trochę zaopatrzenia rodzice kupili we Lwowie, trochę pożyczyci nam wujostwo i jakoś urządziliśmy się.

Jedzenie na tyle, na ile tylko mógł, podrzucał nam wujek, chociaż sam nie był przecież Krezusem, ale skoro tylko po wsi rozeszła się wieść o naszej wyprowadzce, okazało się, jakimi ludźmi byli Poleszucy. Najpierw zajechał wyładowany po brzegi wóz od popa. Czego tam nie było: worek mąki, jakieś kasze, sól, wędzony boczek i mnóstwo innych wspaniałości. Codziennie rano pod drzwiami stał zawsze koszyk z pieczonymi ziemniakami, dzban z mlekiem prosto od krowy od najbliższej sąsiadki. Obdarowywano nas serami, masłem, jajami, chlebem, a nawet mama dostała trzy kury znoszące jajka, co nas ogromnie bawiło. Tak ci wspaniali ludzie karmili nas do końca naszego pobytu w Wielemiczach.

Wieczorami po pracy siadywało się na przyzbie, przychodzili sąsiedzi i mężczyźni wypytywali tatę o politykę, o wojnę, w ogóle o szeroki świat. Kobiety skupiały się koło mamy i też ciekawe były świata. Co jakiś czas wieczorami z oddali słyhać było piękne śpiewy dziewcząt, niosące się po wodzie daleko, daleko. Po chwili, z innej strony wsi, odpowiadali im chłopcy i tak trwał ten dialog pieśni do późnej nocy. Było to tak urokliwe, że zapamiętałam to na całe życie.

I tak trwało to sielskie życie, chociaż powoli już całą Polskę obejmowała straszliwa wojna. Oczywiście, ten sielski spokój nie trwał długo. 18 września rodzice wysłuchali przez radio, że Związek Radziecki postanowił wyswobodzić Białorusinów i w związku z tym anektuje tę część Polski, a granicę w porozumieniu z Niemcami ustanawia się na Bugu. Rozpacz rodziców nie miała wprost granic. Okazało się bowiem, że zostaliśmy odcięci od domu i nie jesteśmy już w Polsce tylko w ZSRR. Jesteśmy więc obcokrajowcami!

Natychmiast pojawił się we wsi przedstawiciel nowej władzy radzieckiej. Kilka dni później nakazano nam zgromadzić się w szkole, aby powitać wkraczające oddziały Armii Czerwonej czyli „wyzwoliciele”. Od rana czekaliśmy więc cierpliwie. Zgromadzili się tu wszyscy Polacy ze wsi, zamożniejsi gospodarze, pop, student Politechniki Lwowskiej, który akurat był u rodziców na wakacjach, no i co najmniej połowa wsi, a zwłaszcza ciekawskie baby.

W pewnym momencie dało się słyszeć bardzo dalekie dudnienie. Powoli zbliżało się do nas i wreszcie zobaczyliśmy oddział wojska, poprzedzany przez grupę żołnierzy uderzających rytmicznie w werble. Do końca życia pozostanie mi w pamięci ten straszny dźwięk, połączony ze strachem, co będzie dalej. Słuchy chodziły bowiem, że często powitanie kończyło się rozstrzelaniem, zwłaszcza Polaków. Zaczęło się przeszukiwanie całej szkoły. Szalenie interesowało ich wszystko, nawet sprzęty kuchenne, a już zupełnie nie mogli pojąć, po co była wujkowi strzelba z nabojami. Tłumaczył więc cierpliwie, że w poleskich lasach jest mnóstwo zwierzyny i polowanie na nią stanowi pewnego rodzaju rozrywkę. Zarekwirowane zostały oczywiście wszystkie zegarki, tylko zegarek mojej mamy ocalał, bo wprawdzie była to damska „Doxa”, ale taki mały to pewnie do niczego. Zarekwirowano oczywiście broń myśliwską oraz wiele innych rzeczy np. globus szkolny.

Następnie po zebraniu wszystkich danych od osób tam przebywających, komendant wytypował ośmiu mężczyzn, w tym oczywiście mojego tatę i wujka, wszystkich Polaków i przedstawicielei dawnej administracji, a nawet tego biednego studenta i pod karabinami żołnierze mieli rozkaz odprowadzić ich do lasu. Wtedy się zaczęło. Wszyscy zebrani ludzie podnieśli wrzask nieopisany. Baby szlochały, dzieci się darły, pozostali chłopcy krzyczeli, a ja po prostu zdretniałam. Mama i ciotka płakały straszliwie, wszyscy myśleli, że to już koniec. Wtedy komendant zapytał ludzi, czy ci aresztowani byli dobrzy czy, nie robili ludziom krzywdy? Cały tłum wrzasnął jednogłośnie, że to są porządni, dobrzy ludzie, żeby im nie robić krzywdy. Komendant wysłał wówczas jednego żołnierza, żeby zawrócił tę nieszczęsną kawalkadę.

Radość była ogromna, wszystkie baby dziękowały komendantowi, i o to chyba właśnie chodziło, żeby okazać się dobroczyńcą. Choć nie zawsze tak było. W następnej wsi, którą wyzwali ci sami żołnierze, rozstrzelali kierownika szkoły i jeszcze parę osób, a ich domy spalili. Długo w nocy widać było łunę na niebie, od strony tej wsi. Było to tak wielkie przeżycie dla nas wszystkich, że długo nie mogliśmy dojść do siebie, a ludzie ciągle się nie rozchodzili. Oczywiście miano wano nowe władze we wsi, a w szkole rozpoczęła się nauka w języku białoruskim. Wujka pozostawiono na stanowisku kierownika szkoły, ponieważ doskonale znał język białoruski i z powodu braku nowej kadry nauczycielskiej na razie zezwolono mu uczyć dzieci w tym języku. Nie bardzo nam to szło, ale ponieważ wiedza nasza w języku polskim była jeszcze bardzo nieugruntowana, to nie było wielkich strat.

Wszystko powoli, po tym ogromnym wstrząsie zaczęło wracać do normy. Po lekcjach hasałam z dziewczętami po całej wsi i tylko nad rzekę nie wolno mi było chodzić. Sąsiedzi nas karmili, a większość czasu spędzałam, w chałupie sąsiadów. Kiedy podawano obiad, ja grzecznie chciałam wycofać się do domu, ale nigdy mi na to nie pozwolono. Dostawałam do garści łyżkę drewnianą, wystruganą w kształcie małej chochelki, na końcu której był haczyk do powieszenia i wraz z całą rodziną sąsiadów zasiadałam do stołu. Na stole zaś stała zazwyczaj jedna miska z kaszą jaglaną lub ziemniakami okraszonymi skwarkami, zaś w drugiej, kwaśne lub słodkie mleko. Powoli bez pośpiechu czerpało się to z jednej, to z drugiej miski. Bawiło mnie to jedzenie szalenie i smakowało jak mała kiedy, chociaż w domu uważana byłam za niejadka. Gdy opowiadałam w domu o tym posiłku, tato ręce załammywał. Boże, to takie niehigieniczne. Wszystkie dzieci chodziły w łapciach z wierzbowego łyka (butów nie było), ja też zapragnęłam mieć takie i gospodarz mi zrobił. Nie bardzo mi się w nich dobrze chodziło, ale szpanowałam jak trzeba. Nowa władza zaczęła naciskać rodziców proponując zmianę dowodów tożsamości na radzieckie. Rodzice nie chcieli się na to zgodzić i zaczęli myśleć o powrocie do domu. Nie było to wcale takie łatwe. Granicę otwierano co jakiś czas, ale tylko na kilka godzin i nigdy nie był wiadomo, w którym dniu to nastąpi. Ludzie

koczowali więc po kilka dni nad brzegiem Bugu, a było już chłodno i rodzice nie chcieli nas narażać na takie niewygody. Zdecydowali się więc przejść przez „zieloną granicę” po prostu w nocy, chłop miał nas przewieźć przez Bug łódką. Niestety, nie udało się i to, bo Jagódka rozchorowała się i miała wysoką temperaturę, akurat tej właśnie nocy. No i tak pozostaliśmy w Wielemiczach bez możliwości powrotu do domu, a właściwie do Polski. Oczywiście przez cały czas byliśmy zarejestrowani jako ci, którzy chcą wracać za Bug. Życie toczyło się powoli dalej. Chodziłam do szkoły, a po lekcjach biegałam z wiejskimi dzieciakami. Razu pewnego bawiliśmy się w stodole. Zabawa polegała na zjeżdżaniu po sianie z samej góry na klepisko. Było to dość wysoko i trochę się bałam, ale przecież nie mogłam tego pokazać po sobie. Zjeżdżaliśmy więc po kolei i zupełnie nie zauważyłam, że na mojej drodze stały widły, zębami skierowane ku górze. Zawisłam więc na tych widłach, na całe moje szczęście na płaszczu. Dzieciaki uciekły, a ja spadłam razem z widłami i najwięcej ucierpiał na tym mój, jedyny zresztą, płaszcz. Bałam się mamy okropnie, do niczego się nie przyznałam, a wychodząc z domu zawsze ustawiałam się przodem do mamy, żeby nie zobaczyła tej ogromnej dziury. Sprawa oczywiście i tak się wydała. Zresztą to nie był jedyny mój bohaterski wyczyn, było ich niestety dużo więcej.

Powoli zaczęliśmy się przygotowywać do zimy. Trzeba było zgromadzić drewno na ogrzanie domu w zimie. Na szczęście z tym nie było problemu, bo dookoła były lasy, a leśniczy był serdecznym przyjacielem wujka. Wybraliśmy się więc z wujkiem do leśniczówki. Była to cała wyprawa, ponieważ leśniczówka znajdowała się na hutorach w głębi lasu. Hutory były to łąki wśród lasów i bagien, otoczone wodą, tak że dotrzeć tam można było tylko łódką. Nie było to zresztą rzeczą prostą, bo bardzo łatwo można się było zgubić w tej plątaninie jezior i strumyczków. Dla nas było to miejsce fascynujące. Dość ponure. Wysokopienny las jakby zatopiony w wodzie i bagnie. Mnóstwo ptaków wodnych no i oczywiście komarów. Od czasu do czasu wyłaniała się polana, pokryta bujną trawą. Załadowaliśmy się na dwie łódki prowadzone przez miejscowych ludzi i zawitaliśmy w leśniczówce. Bardzo mi się tam podobało w tym ogromnym lesie z różnymi dzikimi zwie-

rzętami, zwłaszcza że leśniczy był Polakiem i miał córeczkę w moim wieku. Bawiłyśmy się świetnie. Przy odjeździe postanowiono więc, że zostanę tam parę dni i wszyscy oprócz mnie ruszyli w drogę powrotną.

Nowa koleżanka pokazywała mi wszystkie ciekawe rzeczy w okolicy, a to ogromne mrowisko, norkę jeża, bawiłyśmy się też z oswojonymi sarenkami, które mieszkaly w ogrodzie. Na tych hutorach Poleszucy wypasali bydło, tzn. wywozili je tam wczesną wiosną i pozostawiali do późnej jesieni, a sami mieszkali w szałasach. Kłopoty ze mną zaczęły się dopiero w nocy, kiedy wilki zaczęły podchodzić pod dom i wyć przeraźliwie. Nie wiedziałam, co to takiego i przerażałam się zupełnie nie na żarty.

Wizyta skończyła się szybko. Przyplłynął po mnie ojciec z wujkiem łodzią i znowu znalazłam się w domu z rodzicami. Nawiasem mówiąc, już za nimi tęskniłam. Niestety, to sielankowe życie nie trwało długo. Już na początku grudnia zaczęły krążyć słuchy o przesiedlaniu Polaków i niewygodnych dla nowego ładu ludzi, gdzieś w głąb Rosji, zwłaszcza że byliśmy obywatelami innego państwa, a więc „innostrancami” jak nas określano. Niedługo też i my znaleźliśmy się na liście „do wywózki”. Na szczęście życzliwi wujkowi ludzie zawsze w porę dawali znać o niebezpieczeństwie i umykaliśmy na hutory, aby przeczekać tam tych parę niebezpiecznych dni. Czasem ucieczki te były chybione, dwukrotnie jednak ocalały nas przed Sybirem. Były one bardzo uciążliwe, zwłaszcza w zimie, bo musieliśmy koczować w szałasach, ale za to byliśmy bezpieczni, bo na hutory nikt obcy nie miałby odwagi się zapędzić.

Nadeszła wiosna. śniegi stopniały i wtedy dopiero zobaczyliśmy po co poleskie chaty miały takie wysokie przyzby. Rzeka i wszystkie strumyki wylały i zostaliśmy otoczeni przez wodę. Nawet przejść się nie dało suchą nogą, pozostawały więc tylko łódki, które przybijały do przyzby i zabierały pasażerów. Na szczęście nie trwało to długo i po paru dniach wszystko wróciło do normy. Widok jednak był oszałamiający, gdyż wyglądało to tak, jak gdyby chaty były postawione po prostu na wodzie. Nadeszły Święta Wielkanocne. Wszystkie moje koleżanki od dawna opowiadały o bitwie na jajka pod cerkwią. Musiałam to zobaczyć, więc pięknie wystrojona poszłam z nimi na wielkanocne nabo-

żeństwo do cerkwi. Trochę byłam speszona, bo nie bardzo wiedziałam, jak się zachować, ale moje koleżanki radziły mi, żebym robiła wszystko to, co one i będzie dobrze. Tak też się stało. Klękałam, całowałam krzyż i wypadłam ponoć bardzo dobrze, jak ze śmiechem całe zajście relacjonował potem pop wujkowi. Po nabożeństwie zaś wszyscy wylegli przed cerkiew i zaczęło się. Zabawa polegała na stukaniu się wcześniej poświęconymi jajkami, a wygrywał ten czyje jajko ocalało i dostawał to rozbite. Co więksi specje gromadzili całe worki tych zdobycznych jaj. Ja oczywiście też zdobyłam parę, ale myślę, że specjalnie dali mi wygrać, zwłaszcza, że bawili się wszyscy, starzy i młodzi, wśród śmiechów i ogólnej radości.

Wujek został wysłany na kurs do Lwowa i nie zdołał nas ustrzec przed wywózką. Sam zresztą nie wrócił już do domu i zabrany z tegoż kursu pojechał prosto na Syberię. Dowiedzieliśmy się o tym znacznie później, kiedy inni wrócili z kursu. Tak oto skończył się wspomniały okres poleski definitywnie, gdy 29 czerwca 1940 r. o świcie załomotano karabinami w okna i drzwi naszej chaty...

Epizod syberyjski



To łomotanie o świcie postawiło całą rodzinę na nogi. Do chałupy wpadło kilku mężczyzn, w tym żołnierze z karabinami wycelowanymi prosto w nas. Byli wśród nich przedstawiciele NKWD, no i oczywiście władz miejscowych. Odczytali jakieś pismo urzędowe, które mówiło, że jako „cudzoziemcy” zostajemy przesiedleni na inne tereny Związku Radzieckiego bez sprecyzowania oczywiście dokąd. Kazali się szybko pakować i tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Tato był zmartwiony i zły, mama zalewała się łzami, a my oczywiście ryczałyśmy obie z siostrą przerażone tym, co się dzieje. Na szczęście mama nie straciła głowy i zaczęła pakowanie. Poleszук towarzyszący Rosjanom chodził za mamą niby jej pilnując, pomagał pakować i szeptał: „Zabieraj wszystko co masz, jedzenie też, wszystko nawet garnki, bo tam, gdzie jedzicie, nie będzie nic”. Oczywiście rodzice zdawali sobie sprawę z tego, co nas czeka, ale wdzięczni byli za pomoc i dobre rady. Pakowanie szło sprawnie, tzn. wrzucano wszystko, co się dało do jakichś pojemników lub po prostu zawijano w prześcieradła robiąc tłumoki.

Pod chałupą tymczasem gromadzili się ludzie ze wsi. Znowu baby płakały, chłopci kiwali głowami z dezaprobatą. Wszyscy byli wstrząśnięci, co tam was czeka z małymi dziećmi, taka poniewierka. Prosimi „zostawcie ich, my będziemy ich karmić”, ale skoro już raz odczytano wyrok, nie było odwrotu. Wciskali mamie ze łzami jakieś paczuszki, jak się okazało z żywnością, a nawet, drobne pieniądze (bo na więcej nie było ich stać). Tak żegnała nas wieś Wielemicze i tylko ciocia nie przyszła nas pożegnać. Pewnie po prostu bała się o siebie i swoją rodzinę.

Załadowano nas z całym dobytkiem na wojskowy samochód ciężarowy i pod obstawą z ciągle wycelowanymi w nas karabinami, wśród

ogólnego lamentu ruszyliśmy do Pińska. Było to najbliższe większe miasto, gdzie znajdowała się stacja kolejowa. Tam na bocznicy stały już przygotowane dla nas „luksusowe środki transportu”, czyli bydłące wagony. Wewnątrz każdego z nich po obu stronach wybudowano ciąg piętrowych pryczy. Okienka zasłonięto deseczkami, a za toaletę miała służyć dziura w ścianie z przymocowaną pod nią krótką rynną. Nasza rodzina przybyła na miejsce zbiórki na bocznicy w Pińsku. Załadowano nas do podstawionych wagonów. Ponieważ przyjechaliśmy jako jedni z pierwszych, udało nam się zająć dogodne miejsca na górnej pryczy w samym narożniku przy oknie co dawało odrobinę intymności. Na każdą osobę przeznaczono trzy deski. Mieliśmy 12, a więc rozpychać się nie było gdzie, ale i tak mieliśmy nieźle, bo było mniej duszno. Wagon powoli zaczął się zapełniać ludźmi. Byli to bardzo różni ludzie, przeważnie pochodzenia żydowskiego: dorośli i dzieci, młodzi i starzy, inteligencja i robotnicy, a wszyscy połączeni jednym losem – wagonem bydłącym. Wreszcie po południu, gdy wszystkie wagony były już zasiedlone, żołnierze pilnujący nas, z karabinami gotowymi do strzału, zaczęli zasuwac drzwi wagonów i zamykać je od zewnątrz. Wtedy ludzie opanował jakiś zwierzęcy strach. Zaczęli krzyczeć tak strasznie, że chyba było nas słychać na końcu świata. Krzyczeli zresztą nie tylko ci w wagonach, ale i ci odprowadzający, tłoczący się na peronie. Wrzeszczałyśmy i my z siostrą porwane ogólnym nastrojem, ale naturalnie to nic nie pomogło i pociąg ruszył, wioząc nas w nieznane!

Ludzie od razu zaczęli się organizować. Najpierw za pomocą narzędzi, które mieli w bagażach mężczyźni pootwierali okienka usuwając deseczki. Potem ktoś pożyczył koc i zrobiono zasłonę wokół toalety, co było już dużym luksusem. Raz dziennie pociąg zatrzymywał się na jakimś pustkowiu i dostawaliśmy gorącą zupę z wkładką, czasem i wrzątek. Można się było też umyć, jeśli na postoju była akurat woda i ewentualnie rozprostować nogi, cały czas będąc obserwowanym przez żołnierzy. Potem zasuwano drzwi i na powrót w drogę. Całe dni spędzałam przy małym okienku i kiedyś na postoju zagadnął mnie komendant pociągu. Pytał jak mam na imię, gdzie mieszkałam, był bardzo miły. Potem, ile razy przechodził, zatrzymywał się i gawędził ze mną,

przy tych rozmowach bardzo pomagał język białoruski, który zupełnie nieźle sobie przyswoiłam, bawiąc się z dziećmi na Polesiu. Nazywał mnie „Bielaja Diewoczka” Opowiadał, że ma córeczkę w moim wieku, której już dawno nie widział, bo wojna, a on jest żołnierzem.

I tak jechaliśmy, jechaliśmy, aż obie z siostrą zachorowałyśmy na ospę wietrzną. Choroba to niezbyt groźna, ale też warunki były bardzo trudne, brak leków, a obie miałyśmy wysoką temperaturę. Musiałam więc zrezygnować z wyglądania przez okienko. Znajomy komendant od razu się zainteresował czemu mnie nie ma. Gdy mama bardzo zatroskana powiedziała mu, że jestem chora, pobiegł gdzieś szybko. Za chwilę wrócił i bardzo dyskretnie podał mamie paczuszkę i gorącą wodę w butelce. W paczce, jak się okazało, był kawałek słoniny zawinięty w gazetę. Gazetę tato oczywiście zaraz zaczął czytać, spragniony wiadomości o losach wojny, a woda się przydała bo byłyśmy obie bardzo spragnione. I tak dni mijały jeden za drugim, a my wciąż jechaliśmy. „Bielaja Diewoczka” wyzdrowiała i znowu pojawiła się w okienku. Na świecie nastąpiło już pełne lato. W naszym wspaniałym wagonie zamkniętym na cztery spusty było duszno, gorąco i smrodliwie, co tu dużo gadać, kilkadziesiąt osób stłoczonych na małej przestrzeni, na dodatek niedomytych, robiło swoje. Ale po trzech tygodniach tego wojażowania zbliżał się koniec. Znajomy komendant przyszedł się pożegnać i to był widomy znak tego końca. Wjechaliśmy na boczne tory sporego miasta Kotłas, pociąg się zatrzymał, otworzono drzwi i kazano nam wysiadać razem z bagażami. Oczywiście nie informowano nas, co będzie dalej. Okazało się, że Kotłas leży nad dużą rzeką Dwiną i najbliższy odcinek drogi pokonamy statkiem. Mama z Jagódką na rękach poszła przodem, a ja z tatą i bagażami za nimi. Ponieważ jednak choroba i trzytygodniowe zamknięcie dały o sobie znać w zetknięciu ze świeżym powietrzem, zaraz na wstępie przewróciłam się jak długa i solidnie zdrapałam kolana, co spowodowało małe opóźnienie w naszym marszu. Mama dotarła już do statku i została zaokrętowana. Jakie było nasze zdziwienie i rozpacz, gdy statek zaczął odpływać z mamą, a my pozostaliśmy na brzegu. Znowu podniósł się ogromny wrzask i lament. Na szczęście tym razem już uspokoiono ludzi, że nie ma powodu do rozpacz, bo ten

sam statek zaraz wróci i zabierze pozostałą resztę. Ja byłam podwójnie nieszczęśliwa z powodu rozbitych kolan i braku mamy. Na szczęście ta niemiła przygoda dobrze się skończyła. Niebawem razem z Tatą i bagażami znaleźliśmy się na pokładzie statku rzecznego. Dopłynęliśmy nim do miasta Krasnoborsk (kolej tu nie dojeżdżała), a na nabrzeżu czekała na nas mama. Radość ze spotkania była ogromna. Ciężarówkami zawieziono nas na jakąś łąkę i powiedziano, że ponieważ zbliża się wieczór dalszą część podróży odbędziemy następnego dnia. Trzeba było więc przygotować się do biwakowania pod gołym niebem. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że nastaly białe noce. Trudno było więc zasnąć, dotkliwie gryzły różne owady, takie jak komary, czy gzy, ale na szczęście było ciepło.

Krasnoborsk był niewielkim miastem leżącym przy ujściu rzeki Uft-Iugi do Dwiny. Rano pojawiły się łodzie. Wiosłowali miejscowi ludzie. Załadowano naszą rodzinę razem z bagażem na dwie łódki i popłynęliśmy w górę rzeki Uft-Iugi. Była to piękna rzeka, czysta, wartka, tylko te łódki wydawały się trochę małe i nieco chybotliwe. Po dwóch lub trzech dniach z noclegiem w jakiejś wsi, przy płynęliśmy na miejsce. Widok był wspaniały. Dołem płynęła rzeka, a na wysokiej skarpie znajdowała się rozległa polana. Na polanie stało kilka baraków zbudowanych z bali drewnianych. Dookoła zaś był las. Nic tylko ogromny, groźny i zarazem piękny las, po prostu tajga. Byłoby to wspaniałe miejsce na spędzenie wakacji, na biwak, ale dla nas było to tylko więzienie.

Tym razem znowu dopisało nam szczęście, bo przy płynęliśmy jako pierwsi, mogliśmy więc wybrać sobie miejsce do egzystowania. Barak był podzielony na dwie części. Wchodziło się do niewielkiej sieni umieszczonej w środku, a następnie na prawo i lewo były drzwi do pomieszczeń mieszkalnych. W takim pokoju wzdłuż ścian zbudowano prycze. Na obu końcach były dwa ogromne piece, a pomiędzy tymi piecami drewniany prosty stół z ławami po obu stronach. Na całe nasze nieszczęście, baraki te poprzednio zamieszkiwali Czesi, którzy w spadku zostawili nam sporo karaluchów, pluskiew i różnych innych mało przyjemnych towarzyszy. Barak miał maleńkie okienka, przez które wpadało nieco światła, ale wewnątrz było raczej ciemne i ponure, bo

belki ścian również zbrązowiwały. Zaraz po przyjeździe zajęliśmy więc sobie miejsce w samym rogu, na dwóch żelaznych, złączonych razem łózkach. Sienniki były brudne, ale i tak było to lepsze niż spanie na pryczy. Dawało złudzenie intymności.

Powoli barak zaczął się zapełniać i w ostatecznym rozrachunku było nas około 150 osób, tylko w naszej połowie. Byli to przeważnie ludzie pochodzenia żydowskiego, różnych narodowości: w większości Polacy, ale też Niemcy i Ukraińcy, różnych profesji: lekarze, prawnicy, nauczyciele, naukowcy i robotnicy. Chrześcijańskie rodziny były tylko dwie, my i robotnicza rodzina z Warszawy. W oddzielnym baraku była kuchnia i stołówka, toaleta, tzn. osobny mały baraczek, pod którym wykopano głęboki dół i nad nim znajdowały się siedziska. W jednym rzędzie było ich około 15. Podzielony był osobno dla pań, osobno dla panów. Wszystko się więc zgadzało poza temperaturą w zimie.

Organizacją życia w tym sielskim zakątku zajęli się zaraz nasi opiekunowie, którymi byli Rosjanie w większości, tak samo jak my, na zsyłce. Zniknęli za to żołnierze z karabinami, bo i po co mieliby nas pilnować, jeśli jedynym traktem komunikacyjnym była rzeka. Najbliższa wieś znajdowała się parę kilometrów od obozu i nazywała Wasiliewo. Od niej też wziął nazwę nasz obóz. My dzieci szybko utworzyliśmy silną grupę i zaczęliśmy penetrować nasze nowe miejsce pobytu, ku rozpaczy rodziców, którzy się bali, że potopimy się w rzece, zabłądzimy w lesie i drżeli, że czyha na nas tysiące niebezpieczeństw. Zaprzyjaźnił się nawet z dziećmi obsługi, które były naszymi przewodnikami po tym nieznanym nam terenie.

Gdy baraki zapełniły się już całkowicie, na inspekcję przyszedł główny komendant. Wszyscy, włącznie z dziećmi, stali wzdłuż legowisk, a on wygłosił do nas mowę, w której między innymi zawierała się radziecka mądrość „nie pracujesz, nie jesz”, wobec czego wszyscy oprócz matek z małymi dziećmi mieli pójść do pracy. Praca była tu tylko jedna, tzn. ścinka i obróbka drzew w lesie. Utworzono kilku osobowe brygady, a na czele takiej brygady stał brygadier, tzn. jeden z więźniów odpowiedzialny za brygadę. Mama została w baraku z dzieckiem, a tato dostał wspaniałą brygadę składającą się z samych starszych, nobliwych

pań, które nawet w domu nie zajmowały się żadną robotą. Można więc sobie wyobrazić, jak wyglądała norma w ich wykonaniu. W efekcie końcowym często gęsto po pracy lądował w areszcie na noc, nie mówiąc już o tym, że nie dostawał przydziału chleba i pieniędzy na jego zakup. W takiej sytuacji rodzina uradziła, że mama pójdzie do pracy, jaką zaproponował jej szef naszego baraku, a dzieckiem wówczas już prawie dwuletnim zajmę się ja, ośmioletnia opiekunka. Dla mnie to było tragedia, bo nie mogłam już hasać z całą gromadą, byłam całkowicie uwiązana w baraku. Ale rozumiałam, że to nie były czasy i możliwości jakichkolwiek wyborów, tak musiało być. Gdzie się dało ciągnęłam to biedne dziecko ze sobą i bawiłyśmy się ile wlezie. Mama dostała pracę w kuchni, co było wyróżnieniem nie byle jakim. Oczywiście była to praca pomocnicy, a więc najtrudniejsza, jaką tylko można sobie wyobrazić. Ponieważ śniadanie dla „robotników” było o godz. 5.00, moje biedne matczyśko musiało wstawać o godz. 3.00, żeby zdążyć nanieść wody z rzeki (przełknięcie około 40 wiader) i przygotować wszystko do śniadania. Było to możliwe dzięki nosidlom, w które wyposażono mamę. Potem cała kuchnia zaczynała przygotowywać obiad. Obiad zawożono do lasu i tam rozdawano. Ci co zostawali w barakach dostawali obiad w stołówce. Kobiety w kuchni lubiły moją mamę, doceniały jej wysiłek i jak się dało pomagały. Czasami zwalniały mamę żeby poszła do baraku zaglądnąć do nas i przyniosła nam wtedy obiad. Kolację wszyscy jedliśmy indywidualnie po pracy. Wyznaczano jednego dyżurnego, który przygotowywał „kapiatok”. Była to cała ceremonia. Nad brzegiem rzeki zawieszono olbrzymi kocioł na specjalnym rusztowaniu. Rola dyżurnego polegała na napełnieniu tego kotła wodą z rzeki, palono pod nim ognisko tak długo, aż woda się zagotuje. Trwało to ładnych kilka godzin. Opału nam nie żałowano. Potem, kiedy woda już wrzała zaczynał się prawdziwy horror. Tłum ludzi czekał zwykle na ten moment i rzucał się z różnymi naczyniami do czerpania wody prosto z kotła. Kocioł był za mały i nie zawsze wystarczyło wody dla wszystkich, stąd te przepychanki. Zaopatrywanie rodziny we wrzątek należało do moich obowiązków, poza opieką nad dzieckiem. Często wracałam z poparzonymi dłońmi, ale zawsze z wodą, po prostu życie uczy człowieka zaradności, nawet takiego małego, jakim

byłam wówczas. Gotowanie indywidualne odbywało się nad brzegiem rzeki. Układało się dwa duże kamienie, pomiędzy nimi rozpalało ognisko i jeżeli były jakieś produkty, można było ugotować niezłą potrawę. Problem tylko leżał w tym, że tych produktów, przynajmniej my, nie mieliśmy. Nie dostawaliśmy bowiem paczek, i nie mieliśmy zbędnych rzeczy, które można by wymienić na wsi na pożywienie.

Lato było w pełni, piękna pogoda, ciepło. Lasy pełne były grzybów, malin, poziomek, jagód wszelkiego rodzaju, więc żyło nam się w miarę znośnie. Rodzicom jednak nie dawał spokoju mój analfabetyzm, wobec czego umówili się z p. Piotrem Jaroszewiczem, który był nauczycielem i w niedzielę chodziłam do niego na nauki z elementarza, który jakimś cudem miał ze sobą. Pan Piotr Jaroszewicz, późniejszy premier, wpa-jał mi więc zasady ortografii i byłam bardzo dumna, gdy pewnego razu udało mi się wreszcie góra napisać prawidłowo. Państwo Jaroszewiczowie mieszkali w innym baraku i mieli do swojej wyłącznej dyspozycji maleńką, co prawda, ale swoją izdebkę. Reprezentował on więźniów u naszych obozowych władz.

Raz na tydzień oczywiście w niedzielę była uruchamiana „bania” czyli łaźnia. Była to prawdziwa sauna, gdzie na podgrzane kamienie lano zimną wodę, powstawała gorąca para i wierzbowe witki też były oczywiście w użyciu. Wszyscy obowiązkowo się kąpali, najpierw mężczyźni, a potem kobiety. Oczywiście można było umyć się w rzece, ale tu woda była zawsze chłodna. I tak minęło lato. Dzieci zaczęły chodzić do szkoły, do tej najbliższej wioski i pobierać nauki w języku rosyjskim. Ja oczywiście jako piastunka nie mogłam chodzić do szkoły i bardzo mnie to bolało. Powoli zaczęło się robić coraz chłodniej, rzeką zaczęły płynąć kry, jeszcze nieśmiało, ale były to już pierwsze zwiastuny nadchodzącej zimy, a dla nas ciężkich czasów.

Pracujący w lesie dostali nowe ubrania, tzn. kufajki i walonki, które miały ich chronić przed nadchodzącymi mrozami, no i tak weszliśmy w okres syberyjskiej zimy. W listopadzie zaczęły dokuczać nam już niezłe mrozy. Z jedzeniem też było coraz gorzej, bo nie dało się zbierać jagód ani grzybów, i nie można było łowić ryb w rzece. Niektórzy dostawali paczki, które o dziwo docierały do obozu. My dostaliśmy tylko

jedną. Gdy mama ją otworzyła, okazało się, że w środku znajdują się kawałki suszonego białego sera i kilka kawałków ususzonej na kamień kiełbasy i słoniny. Była to składkowa paczka niemal całej wsi Wielomicze. Ten ser utarty na tarce i zalany ciepłą wodą był nieocenionym pożywieniem dla dzieci. Rodzice bardzo byli wdzięczni Poleszukom za ten dar.

W obozie był również sklep, a jakże. W sklepie kupowaliśmy przydziałowy chleb no i czasem pojawiały się tak luksusowe towary jak mydło czy landryny. Na te zakupy trzeba było mieć jednak pieniądze. Raz kupiliśmy nawet grzebień, kiedy nasz wpadł mi pod podłogę, ale oczywiście mamie się nie przyznałam. W baraku życie toczyło się nadal. Jedni chorowali, drudzy umierali, jeszcze inni przychodzili na świat. Najbliższymi naszymi sąsiadami było młode małżeństwo Pomerańców. On był lekarzem ginekologiem i właśnie im jako pierwszym urodziło się dziecko. Oczywiście wszystko odbywało się w baraku. Naprzeciw nas ulokowała się rodzina Bogdanowiczów z Warszawy. Była to rodzina wielopokoleniowa z dziadkami, rodzicami i czwórką małych dzieci. Jako następne dziecko barakowe pojawiło się właśnie ich piąte. W trakcie porodu wyrzucano dzieci z baraku, robiono parawan z czego się dało i to był jedyny komfort dla rodzącej. Na szczęście na miejscu był lekarz ginekolog.

W grudniu zima zagościła już na dobre. Temperatura spadła poniżej 30 stopni C, rzeka zamarzła i zaczęły się naprawdę ciężkie czasy. W tych ogromnych piecach paliliśmy bez przerwy dzień i noc, a i tak w baraku nie było zbyt ciepło. Najgorsze było to, że nie można się było umyć, ani nic wyprać no i powietrze w baraku było nieco ciężkie, delikatnie mówiąc. Zaczęła się też szerzyć wszawica. Skutki tego nie dały na siebie zbyt długo czekać i mama postanowiła obciąć mi włosy. Miałam piękne długie blond włosy i usiłowałam ich bronić, ale nie było rady. Po obcięciu włosów przez pół dnia siedziałam w kącie, za łóżkiem i płakałam. Nie pomogło nawet to, że zawiązała mi mama wstążeczkę na głowie, byłam niepokieszona. Na dodatek wszyscy napotykanii ludzie, z ruskimi babami włącznie, biadolili nad moimi ściętymi włosami. Byłam bardzo nieszczęśliwa z tego powodu.

Ponieważ rzeka zamarzła, aby czerpać z niej wodę trzeba było wybić przeręble. Codziennie dyżurni musieli otwierać je na nowo, bo przez noc potrafiły zamarznąć. No i tak szybkimi krokami zbliżyło się Boże Narodzenie. Nasze dwie rodziny postanowiły urządzić wigilię. Pozwolono nam wyciąć jodełkę i ustawić ją na stole. Szybko zbiegły się dzieci z całego baraku zaciekawione, co będziemy z tym drzewkiem robić. Zaczęliśmy je ubierać, a one pomagały nam z wielką radością. Każdy przynosił, co miał: skrawek kolorowego papierka, kawałek szmatki czy wstążeczki i tak wspólnymi siłami uzyskaliśmy piękną choinkę, byliśmy z niej bardzo dumni, zwłaszcza, że dorośli też nas chwalili. Wieczorem po pracy, zasiedliśmy wszyscy przy otwartym piecu (niby kominku), piekliśmy chleb, piliśmy kompot żurawinowy, który mama wyczarowała w kuchni i każdy dostał po jednej landrynce, bo akurat dostarczono je do sklepu. Były oczywiście życzenia, jak można się domyślić wszyscy życzyli sobie zakończenia wojny i rychłego powrotu do domu. Potem śpiewaliśmy kolędy. Najpierw cichutko, ale coraz więcej ludzi przychodziło do naszego kąta i pieśni brzmiały coraz głośniej i piękniej. Tak skończyło się nasze pierwsze Boże Narodzenie na obczyźnie, wśród syberyjskiej tajgi.

Zima była coraz sroższa, dni stawały się coraz krótsze, a więc i do pracy wychodziło się nieco później i wcześniej wracało, bo trudno ścinać drzewa po ciemku. Pomimo skróconego czasu pracy ludzie wracali z lasu z odmrożonymi rękami, nogami, a nawet nosami. Po prostu odzież, jaką mieli, była zdecydowanie niewystarczająca i nie mieliśmy nawet gazet żeby owijać nogi w walonkach. Temperatura spadała już nawet poniżej 35 stopni. Śnieg sypał bez przerwy, tak że rano musiano się dosłownie przekopywać, żeby otworzyć drzwi i dotrzeć do stołówki na śniadanie.

Najgorsze było korzystanie z latryny, która była co prawda pod dachem, ale nieogrzewana. Powoli zaczęły się też pojawiać dzikie zwierzęta i zdarzało się, że chętny do skorzystania z ustronnego miejsca w popłochu uciekał przed lisem czy wilkiem, na szczęście niedźwiedzie jeszcze spały.

Dzieci do szkoły też nie chodziły gdy temperatura spadała poniżej 40 stopni i tylko moja biedna mama musiała nadal dostarczyć 40

wiader wody do stołówki. Ludzie z odmrożeniami cierpieli bardzo, nie było bowiem leków i rany nie chciały się goić. Z jedzeniem też stawało się coraz gorzej, ale życie barakowe toczyło się nadal. Powoli zbliżała się wiosna, tak ogromnie przez nas wyczekiwana. Dla naszej rodziny wiosna okazała się raczej pechowa, bo najpierw zachorowała Jagódka na ciężką anginę, a zaraz potem mnie zmogła żółtaczką. Byłam żółta jak cytryna, słaba, a co najgorsze jedna ze spotkanych ruskich kobiet powiedziała mi: „No to ty Warwara niedługo umrzesz, bo z żółtuchą nie można żyć”. Pobiegłam do mamy z wielkim płaczem. Lekarz, sąsiad poradził, żeby zastosować ostrą dietę, no i tak się też stało. Dostałam od komendanta nawet zezwolenie na codzienną porcję kompotu z żurawin. Pomimo że nie było żadnych leków, nie tylko nie umarłam, ale wyzdrowiałam – no prawie! W wyniku tych chorób mama musiała zrezygnować z pracy.

Mrozy powoli były coraz mniejsze, dni dłuższe i czasami wyglądało słońeczko. Ale wraz z ociepleniem obudziły się niedźwiedzie i głodne zaczęły podchodzić pod same baraki. Wykorzystali to nasi mężczyźni i postanowili zapolować, żeby zdobyć nieco mięsa. Zrobili pułapkę na niedźwiedzia i złapali jednego. Co się potem działo, nie wiem, bo dzieci musiały odejść, ale mięsa mieliśmy znacznie więcej i to bardzo smacznego. Ponieważ mama musiała zrezygnować z pracy, więc ja postanowiłam pomóc rodzinie. Wraz z innym dziećmi zabrał się za produkcję mioteł z gałązek wierzbowych. Mężczyźni ścinali nam gałązki, a my wiązaliśmy je i tak powstawały miotły, za które dostawaliśmy po parę kopiejek. Można sobie wyobrazić jak wyglądała miotła zrobiona przez ośmioletnią dziewczynkę, ale to już inna sprawa. Kiedy temperatury stały się już dodatnie powoli, bardzo powoli zaczęła „puszczać” rzeka. Niestety, wraz z ustępowaniem lodu, rzeka gwałtownie zaczęła przybierać. Woda szybko zaczęła się podnosić i dopiero wtedy zrozumieliśmy dlaczego baraki umiejscowiono na takiej wysokiej skarpie. W momentach krytycznych woda podchodziła niemal pod same baraki i byliśmy już w strachu, co będzie dalej. Na szczęście woda nas oszczędziła, ale z kotłem na „kapiatok” trzeba było w popłochu uciekać.

Wraz z wiosną robota w lesie też nabrała tempa. Przygotowane przez zimę pnie drzew wrzucano do tej wezbranej rzeki i płynęły sobie w dal, prawdopodobnie do Krasnoborska. Rozpoczął się też okres handlowy. Aby podreperować jakoś swoje siły, ludzie chodzili do najbliższych wsi i wymieniali lub kupowali (pieniądze niechętnie były widziane przez wieśniaków) różne produkty żywnościowe. Oczywiście zdzierano z nas skórę jak się tylko dało. Za złotą obrączkę taty mama dostała: 5 kg ziemniaków, 2 kg cebuli i główkę kapusty. Nie było to wiele, ale zawsze coś. Zresztą to byli też biedni ludzie. Moja matula, ponieważ miała teraz więcej czasu, wymyśliła sobie, że założy ogródek warzywny. Zaczęliśmy więc (cała rodzina) karczować las. Usuwaliśmy krzaki na skraju lasu, a co się wykopało, mama postanowiła spalić. Na nieszczęście ogień zaczął się szybko rozprzestrzeniać po ściółce leśnej i gdyby nie intensywna pomoc współtowarzyszy niedoli, pewnie doszłoby do pożaru tajgi, a wtedy sprawa wyglądałaby znacznie groźniej. Pożar został ugaszony i tak skończyły się zakusy mojej mamy na własny ogródek w tajdze.

Od czerwca Rosja znalazła się w stanie wojny z Niemcami i zażarte walki jakie toczyły się na terenie okupowanego kraju, wpływały też na nasze utrzymanie. Na szczęście niebawem dotarła do nas wiadomość o Układzie Sikorski-Majski i o amnestii, która objęła również nas. Zaczęliśmy mieć nadzieję, że nasze odosobnienie wreszcie się skończy, a jeszcze tak niedawno nasz komendant barakowy mówił „wy swoją Polskę zobaczycie tak, jak ja swoje ucho bez lustra”. Zresztą to był najmniej sympatyczny człowiek z całej obsługi i wszyscy nazywali go – Jełop. Raz po jakiejś awanturze, kiedy wyrzucał do pracy chorą kobietę, moja malutka siostrzyczka stanęła przed nim z groźną miną, a sięgała mu zaledwie do kolan, bo był mężczyzną słusznego wzrostu i pogroziła mu paluszkami. Wszyscy dosłownie zamarli ze strachu. Tym razem jednak groźny komendant uśmiechnął się tylko i wyszedł z baraku bez słowa. Lato nastąpiło ciepłe i piękne. Znowu mieliśmy co jeść i nadrabialiśmy braki witaminowe zbierając jagody, poziomki czy maliny. We wrześniu zakomunikowano nam o amnestii. Powiedziano, że możemy wyjechać – tylko jak? Oni nie mogli zagwarantować nam żadnego transportu.

Parę osób, co zasobniejszych w gotówkę, wynajęło sobie we wsi łódki, reszta musiała sobie sama radzić. Postanowiono więc, że będziemy budowali tratwy. Dostaliśmy zezwolenie na ścinę drzew i rozpoczęła się zmuDNA praca przy tratwach. My budowaliśmy tratwę razem z Bogdanowiczami. Ze względu na to, że miała pomieścić dość dużo osób, musiała być duża. Zrobiono też skośny daszek, miejsce na ognisko i pod tym daszkiem ulokowano wszystkie rzeczy z kołdrami włącznie. Pod koniec października tratwa była gotowa do drogi. Komendant główny radził mamie, żebyśmy nie wyjeżdżali, jest wojna, idzie zima, stracisz dzieci, a stąd i tak będą musieli was zabrać. Oczywiście nikt go nie słuchał, a kilka rodzin, które nie dostały przepustek na wyjazd, w tym Jaroszewiczowie, rozpaczali ogromnie.

Powoli tratwa po tratwie opuszczały pasiołek żegnane przez pozostałych jeszcze współtowarzyszy, a nawet Rosjan. My wyruszyliśmy wcześniej rano, żegnani przez resztę. Było zimno, wiał zimny wiatr, a na rzece zaczęły pojawiać się niewielkie kry. Mężczyźni stanęli przy sterach, tzn pilnowali żeglugi i długimi drągami regulowali odległość od brzegu. Reszta towarzystwa opatulona w co się tylko dało, chroniła się pod daszkiem. Co jakiś czas przybijaliśmy do brzegu, żeby zagotować wody do picia i dla ogrzania się. Na noc również zatrzymywaliśmy się w jakichś wioskach i błagali ludzi o przenocowanie nas. Mężczyźni zostawali na tratwie, by chronić nasz dobytek, a kobiety z dziećmi szły do wsi. Nam, ponieważ byliśmy tylko trzy, zawsze jakoś udawało się zdobyć ten wymarzony nocleg. Ludzie współczuli nam, nakarmili, kładli na piecu, żebyśmy się ogrzały i wypytywali o wszystko. O Polskę, nasze poprzednie życie (chcieli wiedzieć, czy my na pewno byliśmy kułakami), o politykę i o cały świat. Kiedy zorientowali się, że my jesteśmy zwykłymi pracującymi ludźmi, byli bardzo serdeczni i traktowali nas jak gości. Nie zawsze jednak szło tak dobrze. Ponieważ Bogdanowiczów było znacznie więcej, nie zawsze udawało im się ten nocleg zdobyć i razu pewnego, gdy rano wróciliśmy na tratwę, okazało się, że w nocy zmarło to niemowlę, urodzone na pasiołku. Wielka była rozpacz wszystkich, ale trzeba było ruszać dalej. Oczywiście spotykały nas różne przygody w czasie tej podróży. Raz wpłynęliśmy na jakiś niewidoczny pal wbity

w dno rzeki i tratwa zaczęła się przechylać, grożąc że wszystko razem z nami zjedzie zaraz do wody. Trzymałyśmy wszystkie rzeczy jak się tylko dało, a mężczyźni usiłowali zepchnąć ją z tego pała, niestety bez skutku. Dopiero B. rozebrał się, wlaźł do wody, a ponieważ był to chłop na schwał, zepchnął tratwę z przeszkody. Oczywiście potem nie mógł się dogrzać, tak strasznie zmarzł.

Mój tato miał znowu inną przygodę. Kiedy dopływaliśmy do brzegu w jakiejś wsi, wpadł do wody w ubraniu, a ponieważ nie było tam zbyt głęboko, stał na dnie, a tratwa z całym rozpędem gnała do brzegu. Groziło to zgnieceniem go. Znowu z pomocą przyszedł B. i drągiem, odepchnął tratwę. Zostaliśmy już w tej wsi na noc i tym razem mama została na tratwie, a tata suszył się i ogrzewał w chałupie. Dostał nawet szklaneczkę samogonu, bo tak mu współczuli wieśniacy, którzy zresztą obserwowali całe zajście. Po czternastu dniach tej morderczej, podróży zmarznięci, dotarliśmy do Krasnoborska. Tutaj zaopiekował się nami przedstawiciel polskich władz, który organizował dalszą podróż. To spływanie tratwą było po prostu strasznym przeżyciem nawet dla nas zahartowanych w różnych trudnych sytuacjach.

Przeprawiono nas przez Dwinę tymi samymi statkami co poprzednio i zainstalowano w Kotłasiu, w jakimś pomieszczeniu, gdzie nie było już tak zimno. Tam czekaliśmy, aż uformuje się pociąg na dalszą podróż. Dostaliśmy oczywiście odpowiednie papiery, tzn. rodzaj przepustek i mogliśmy poruszać się po mieście bez przeszkód. To była daleka północ, a pomimo to wojnę odczuwało się tu na każdym kroku. Myśleliśmy, że wracamy do domu, a tymczasem było przed nami jeszcze sześć lat tułaczki, a niektórzy do Polski nie wrócili już nigdy.

Wreszcie podstawiono pociąg. Był to oczywiście taki sam skład wagonów towarowych jak poprzednio, różnił się tylko tym, że żołnierze nie trzymali nas na muszce. Ruszyliśmy na południe Rosji, nie wiedząc dokładnie dokąd jedziemy. Podróż była tym uciążliwsza, że transport, chcąc przejechać przez całą Rosję, musiał objeżdżać ogniska wojny. Był to czas najcięższych walk z Niemcami: obrona Leningradu, obrona Moskwy. Ludzie wymęczeni, niedożywieni, zaczęli chorować. My z siostrą zachorowałyśmy na odrę. W normalnych warunkach, byłaby

to po prostu choroba wieku dziecięcego, ale w naszym przypadku bez leków i jakiegokolwiek pomocy medycznej okazała się katastrofalna. Obie leżałyśmy z wysoką gorączką. U Jagódki powikłaniem okazało się zapalenie opon mózgowych, a u mnie obustronne zapalenie płuc. Moja biedna mama szalała. Dzieci umierają, a tu żadnej pomocy. Transport wjechał już do południowych republik Związku Radzieckiego ale to nie zmieniło zupełnie naszej sytuacji, tyle że zrobiło się ciepło.

29 listopada 1941 roku nad ranem zmarła Jagódka. Rozpacz rodziców była tak wielka, że nie da się opisać. Kiedy pociąg zatrzymał się na stacji w pobliżu Turkiestanu zabrano zwłoki dziecka i wszystkich innych zmarłych. Ojciec załamał się całkowicie. Wysiadł z pociągu, pociąg ruszył, a jego nie było. Ja nie wiedziałam nic o śmierci siostry, bo sama miałam 40 stopni gorączki, byłam nieprzytomna i ledwo dychałam. Można sobie wyobrazić moją mamę, w jakim była stanie. Na szczęście tato znalazł się na drugi dzień, cały i zdrowy. Okazało się, że wsiadł do jakiegoś innego wagonu w ostatniej chwili. Po sześciu tygodniach tej koszmarnej podróży, gdy codziennie rano wynoszono z wagonów zwłoki zmarłych ludzi, dotarliśmy do Uzbekistanu jednej z republik Związku Radzieckiego, i wysadzono nas na maleńkiej stacji w miejscowości Kasań. I tak rozpoczął się następny epizod mojego życia.

Epizod uzbecki



Wysadzono nas na małej stacyjce, a właściwie przystanku kolejowym, mama zaczęła robić raban, że ma ciężko chore dziecko. Trzeba to przyznać, że szybko zabrano nas obie do szpitala. Okazało się bowiem że chociaż miasteczko było bardzo małe, ale szpital był. Wyszorowali mnie porządnie, dali czystą koszulinę i zaczęli leczyć. Mama wróciła na stację, by dopilnować zakwaterowania. Umieścili nas w lepiance. To był po prostu mały jednoizbowy domek z gliny z jednym okienkiem i jednymi drzwiami. Wewnątrz znajdował się gliniany piec i nic więcej. Po raz pierwszy jednak byliśmy sami i to już było wspaniałe. Ja oczywiście nic o tym nie wiedziałam, bo zmagalam się z moim zapaleniem płuc w szpitalu. Lekarze mocno kręcili głowami nad moją chorobą, ale robili co mogli (nie było penicyliny). Zwłaszcza uzbecki lekarz, dr Ikramow, po opowieściach mamy szczególnie się mną zajął. Mama zresztą dostała zezwolenie na przebywanie ze mną w szpitalu, tak że obie dochodziłyśmy do siebie, ja po chorobie, a mama po tej ciężkiej podróży. Lekarzem naczelnym był oczywiście Rosjanin. Pamiętam, że często do mnie zaglądał, a poznawałam go po czerwonych oficerkach, które dumnie nosił. Wreszcie przed samym Bożym Narodzeniem wypisano mnie ze szpitala. Wszyscy nie mogli się wprost nadziwić, że z tego wszystkiego wyszłam cała. Zobaczyłam nareszcie naszą kwaterę z glinianym piecem i bałogiem na ziemi. W piecu paliło się tzw. kiziakiem, czyli suszonymi odchodami zwierząt, bo drewna tam nie było. Jest to kraj, w którym rosną krzewy, a nie drzewa. Poza nami w lepiance mieszkaly też skorpiony i wszelkie robactwo. Gdy leżałam w szpitalu, mama poznała Polkę, która wyszła za męża za Rosjanina i mieszkali służbowo właśnie w Kasaniu. Zaprosili nas na święta do siebie. Było przyjęcie,

jakiego od bardzo dawna nie doświadczyliśmy. U nich poznaliśmy parę Uzbeków, miejscowego weterynarza z żoną.

Ponieważ poza przydziałem chleba (200 gramów na dzień, na osobę) nie dostawaliśmy nic więcej, trzeba było iść do pracy. Nie było to takie łatwe, ale dzięki nowym znajomościom, mama dostała pracę salowej w tym samym szpitalu, w którym leżałam, wszystkich tam już znała. Ojciec natomiast został pomocnikiem w warsztacie stolarskim. Po chleb trzeba było iść do kolejki, odstać swoje i jeszcze nie dać się wypchnąć. Ten obowiązek spoczywał na mnie. Tato swój przydział dostawał w pracy. Jednak większość Polaków w tej miejscowości nie miała pracy i głód zaczął zaglądać do naszych lepianek. Szerzyło się więc złodziejstwo, co z kolei zrażało do nas ludność miejscową. Jako dodatkowe źródło dochodów rodzice wymyślili handel papierosami, które sami robili. Oczywiście była to działalność nielegalna, tym handlem musiałam się zająć ja. Po prostu szłam na bazar i sprzedawałam. Pewnego razu jakiś młodzik, któremu nie chciałam obniżyć ceny, zdenuncjował mnie na milicji. Milicjant, starszy już człowiek zabrał mnie na posterunek, robił groźną minę, wypytał o wszystko, ja chlipnęłam trochę, bo bałam się okropnie, że zabierze mi wszystko, a on nakrzyczał na mnie bardzo głośno i wypuścił mnie wraz z całym towarem, który sprzedałam jeszcze w sieni komisariatu.

Coraz bardziej głodno było, i nie ostał się już chyba ani jeden pies w Kasaniu, wszystkie zostały zjedzone. My radziliśmy sobie jakoś, bo oboje rodzice pracowali. Zdobywanie żywności również graniczyło z cudem. Byliśmy przecież w obcym muzułmańskim kraju, o zupełnie innej kulturze, a na dodatek była wojna. Produkty, które przynosiły kobiety ze wsi, były szalenie drogie. Była jeszcze jedna niedogodność. Właścicielowi naszej lepianki, rzeźnikowi Rachmatowi, ogromnie spodobała mu się moja mama. Codziennie, kiedy wracał po pracy do domu, zawsze kompletnie pijany wstępował do nas i zawracał głowę mamie. Ojciec tłumaczył, że to przecież jego żona, ale do pijanego nic nie docierało. Na drugi dzień przeproszał, ale wieczorem znowu był. Mama panicznie się go bała, ale nic nie można było zrobić. Aż pewnego razu tato tak się zdenerwował, że zgłosił to na milicji. Rachmata

zabrali, przenocował w ciupie i następnego dnia przyszedł już trzeźwy, ale straszliwie obrażony. Nie mógł darować tacie tej zniewagi i nie chodziło wcale o to, że został zatrzymany, pewnie nie raz mu się to zdarzyło, tylko o to, że tato doniósł na niego do Rosjan, jego uzbecka dusza bardzo cierpiała.

Pod koniec stycznia zjawił się w Kasaniu Delegat reprezentujący władze polskie i obwieścił oficjalnie o formującym się wojsku polskim. Powołano też Komisję, która miała weryfikować mężczyzn do tego wojska. Mój ojciec okazał się za stary, natomiast mama załatwiła przez naczelnego lekarza, który wchodził w skład Komisji, że został przyjęty. Do Kasania ściągali mężczyźni ze wszystkich okolicznych wiosek i kołchozów, aby stanąć przed Komisją. Dawało to bowiem jedyną szansę na wyrwanie się z tej skrajnej nędzy.

Wreszcie nowo utworzona Armia Polska, składająca się z rekrutów słaniających się na nogach z wycieńczenia, wyjechała do Samarkandy. Pożegnania były bardzo żałosne, nie wiadomo było bowiem, kiedy się znowu zobaczymy. Zostałyśmy z mamą same. Przez jakiś czas chodziłam jeszcze do pracy taty po chleb, około 5 kilometrów. Co najgorsze, musiałam przechodzić koło szkoły, a chłopaczyska rzucały we mnie kamieniami. Bardzo się bałam i wpadłam na genialny pomysł. Czekałam aż będzie szedł ktoś dorosły, najlepiej starszy mężczyzna i wtedy ruszałam razem z nim. Okazało się to bardzo skuteczne. Jednak i to się skończyło, nie można było przeciągać „choroby ojca” w nieskończoność, ale dzięki temu, zaoszczędziłyśmy woreczek sucharów.

Najgorsze nadeszło zaraz po wyjeździe ojca – mama zachorowała. Najpierw to był tyfus plamisty. Po prostu zaraziła się w szpitalu. Potem dołączył się tyfus brzuszny. Było bardzo źle, bardzo wysoka temperatura, leków praktycznie żadnych. Ja zostałam sama. Niespełna dziesięcioletnia dziewczynka w obcym kraju bez pieniędzy, bez możliwości zdobycia jakiegokolwiek pożywienia. Na dodatek bałam się piekielnie Rachmata. Po paru dniach zabrała mnie do siebie Bogdanowiczowa. Jej mąż również wyjechał z wojskiem i one również były same. Pomogły więc przenieść mój cały dobytek i zamieszkałam u nich. Przynajmniej nie musiałam już się bać i spałam spokojnie. Całymi dniami włączy-

łam się po miasteczku poszukując jedzenia, no i jakoś sobie radziłam. Sprzedawałam, co się dało sprzedać, chodziłam do weterynarza na jakiś skromny posiłek, czasami dostałam parę groszy od Delegata. Zasadniczym moim wyżywieniem były jednak te suchary, które mama odłożyła na czarną godzinę, ale i one topniały szybko, bo dzieci Bogdanowiczów też były głodne. Chodziłam na bazar i tam też czasem coś mi skapnęło. Był tam taki zwyczaj, że kobiety ze wsi przynosiły duże gliniane dzbany wypełnione kwaśnym mlekiem. Można było próbować, które jest najlepsze, więc ja próbowałam wszystkie po kolei i zawsze to już było coś. Myślę, że te kobiety dobrze wiedziały, że nie kupię nic, ale nie reagowały. Pozostały czas spędzałam pod szpitalem. Ponieważ nie wpuszczano mnie do mamy, stałam godzinami pod oknem i patrzyłam na chorą mamę. Przy oknie leżała kobieta, Rosjanka i ona przekazywała mi wieści jak się mama dziś czuje, czy nadal nieprzytomna. Starła się mnie pocieszać na ile to było możliwe. Miałam jeszcze inne zmartwienie, musiałam unikać wszelkiego kontaktu z policją, bo groziło to zabranieniem mnie do ruskiego sierocińca, skąd nie było już ucieczki.

O dziwo mama powoli zaczęła zdrowieć, odzyskała przytomność, kiwała mi ręką, gdy sterczałam za oknem, ale była bardzo słaba. Mówili mi, że mama teraz powinna się dobrze odżywiać, a tu nie było nic. Poszłam więc do Delegata i wyprosiłam pieniądze na kawałeczek kurczaka. Ugotowałam rosół i zaniosiłam mamie, ale ona nie mogła jeść, a rosół już nie wrócił do mnie. Omal się nie popłakałam z tego wszystkiego, tym bardziej, że dostałam zapalenia stawów i nie bardzo mogłam chodzić. Każdy krok powodował ogromny ból, ale do szpitala jakoś codziennie się włókłam.

Wreszcie pod koniec marca wypisano mamę ze szpitala. Szczęście moje było ogromne, ale była taka słaba, że nie mogła sama chodzić. Wspierała się więc na mnie i tak zawędrowałyśmy do domu. Powoli jednak przychodziła do siebie. Na Święta Wielkanocne zaproszono nas znowu do Domańskich (ta Polka z mężem Rosjaninem) i na śniadanie była jajecznicą. Istny luksus! Tak ogromnie mi smakowała, że chyba się zanadto objadałam, bo zaraz po wyjściu wszystko zwróciłam. Nie mogłam sobie tego darować, takie pyszne jedzenie i na nic. Na tym śniada-

niu dowiedziałyśmy się również, że weterynarze planowali adoptować mnie, gdyby mama nie przeżyła choroby.

Jeszcze jedno wydarzenie wstrząsnęło nami – zmarł dr Ikramow na tyfus. Byłyśmy oczywiście na pogrzebie i bardzo było nam smutno, bo to był naprawdę wspaniały człowiek. Tyfus mojej mamy też się wziął stąd, że poszła szukać w magazynie rzeczy znajomego z pasiołka, a tam aż się roiło od wszy zakażonych tyfusem. Pod koniec kwietnia pojawił się niespodziewanie Bogdanowicz. W mundurze, dobrze odżywiony, zupełnie nie ten sam człowiek. Przyjechał po rodzinę, bo powiedział swoim przełożonym, że nie wyjedzie nigdzie bez rodziny. Rodzina znacznie się zmniejszyła, pozostały z tej dużej rodziny zaledwie cztery osoby. Po naradzie postanowiłyśmy jechać z nimi, aby być bliżej wojska. Drogę do Kermine odbyliśmy pociągiem, a to co tam zastaliśmy, przekraczało wszelkie wyobrażenia o nędzy. Zaraz na drugi dzień B. odwiózł mnie do sierocińca polskiego, bo uznali, że nie ma szans na przeżycie dla dziecka w obozie cywilów. W sierocińcu warunki życia były bardzo prymitywne. Spaliśmy na podłodze leżąc pokotem jedno obok drugiego, a za poduszkę służyły nam rzeczy, w których chodziliśmy w dzień. Najważniejsze jednak było to, że dostawaliśmy trzy razy dziennie skromne jedzenie. Obóz cywilny mieścił się nieopodal obozu wojskowego. Były to duże namioty wojskowe ustawione bezpośrednio na piasku i tam pokotem leżeli ludzie jeden koło drugiego. Wynędzniali, niedożywieni często pozbawieni jakiegokolwiek opieki, o ile nie byli rodzinami wojskowych. Musieli więc sobie radzić sami. Zbierali i gotowali żółwie, ale tych po pewnym czasie zabrakło. Żebrali więc u naszych żołnierzy, prosząc o kawałek chleba, czy parę łyżek zupy. Oba obozy oddzielała tylko siatka, ale to była bardzo solidna siatka.

Obóz wojskowy był nieopodal, żołnierze mieli wszystko, dzielili się ze swoimi bliskimi jedzeniem, ale mojego taty już tam nie było. Wyjechał do Iraku. Mama została skreślona z listy rodzin wojskowych, a więc praktycznie została bez jakiegokolwiek opieki. Nie miał się kto o nią upomnieć. A wojsko się bawiło. Dowództwo – szczychy wojskowe – urządzało przyjęcia z tortami i frykasami, a jak się rozochocili to wy-

rzucali torty przez okna. Taka duża liczba ludzi stłoczona na niewielkiej przestrzeni, pozbawiona jedzenia, mieszkająca w namiotach, doprowadzała do tego, że codziennie rano chodzili sanitariusze i zbierali zwłoki ludzi umarłych w nocy. To był chyba najtrudniejszy okres w czasie całej naszej tułaczki.

Mama odwiedzała mnie czasami w sierocińcu, ale powoli słabła i nie miała już siły, by przejść te pięć czy sześć kilometrów. Staralam się jakoś jej pomóc, ale nie wolno było chować chleba w szafkach, więc postanowiłam chować w dziurze pod drzewem. Niestety albo któreś dziecko mnie podpatrzyło, albo jakieś zwierzę, w każdym razie chleb zniknął. Długo mama musiała mnie uspokajać po tym przeżyciu. Najwięcej bolało, że sama niedojadałam i nic nie miałam dla mamy. Jedzenie w sierocińcu było ściśle racjonowane, co nie przeszkadzało kierownictwu wymieniać pozostałego chleba na owoce i inne specjały, których my oczywiście nie dostawaliśmy.

Najgorsze było to, że jeżeli nie było się rodziną wojskową, nie miało się szans na wyjazd do Persji. Byłyśmy zrozpaczone. I wtedy dosłownie stał się cud. Wśród żołnierzy, którzy podchodzili do ogrodzenia, mama zobaczyła znajomego. Człowiek ten pracował u ojca na poczcie w Brzeszczach. Oczywiście mama wylała wszystkie swoje żale przed nim, w wyniku czego, zarejestrował ją jako swoją siostrę i sytuacja zmieniła się diametralnie. Dostawała już codzienny przydział chleba i zupę, a ponadto została wpisana na listę do transportu do Persji.

Powoli sierociniec zaczął się przygotowywać do Pierwszej Komunii i bierzmowania. Na inspekcję przyjechał biskup Gawlina. Pokazano mu pięknie wyczyszczony obóz wojskowy z żołnierzami już dobrze wyglądającymi, ale nie zaprowadzono go do obozu cywilnego. Tej straszliwej nędzy nie można było przecież pokazać dostojnemu gościowi. Cały sierociniec powędrował więc do obozu wojskowego. Tam stał zrobiony ołtarz polowy i tam przystąpiliśmy do komunii i bierzmowania udzielanych oczywiście przez biskupa. Potem było przyjęcie składające się z kanapek i kompotu co było synonimem luksusu. Niestety, nie bardzo zapamiętałam to wydarzenie, ledwo doszłam z powrotem do sierocińca i padłam obłożnie chora na krwawą dyzenterię.

Potem mama mi opowiadała, że dla biskupa przygotowano wytworne przyjęcie, ale on w czasie odprawiania mszy zobaczył kątem oka ten nieszczęsny obóz cywilny. Kazał się tam zaprowadzić i dosłownie oniemiał na widok tego straszliwego nieszczęścia. Powiedział „ja jeść nie będę, wszystko to oddajcie tym głodnym nieszczęśliwym ludziom, ale oczywiście nie oddali.

Mój stan pogarszał się z dnia na dzień. Nie mogłam nic jeść, na dodatek całą jamę ustną miałam obłożoną bolesnymi aftami. Mama przychodziła mnie pielęgnować, ale ja nie mogłam już ustać na nogach, taka byłam słaba. Zbliżał się wrzesień i kończył się okres wyjazdów do Persji. Do wyjazdu zaczęto przygotowywać również nasz sierociniec. Kierownictwo sierocińca zawyrokowało, że w takim stanie nie nadaje się do żadnej podróży, ale z drugiej strony była to dla mnie jedyna szansa. Moja wychowawczyni obiecała zaopiekować się mną w czasie podróży. Był to bowiem jeden z ostatnich transportów opuszczających Związek Radziecki. Położono mnie w wagonie na ławce ledwo dychającą. Pożegnałam się z mamą i pociąg ruszył. Nie miałam siły nawet rozpaczać z powodu rozłąki. Mojej mamie udało się dostać do transportu odchodzącego parę godzin później, ale ja o tym wszystkim oczywiście nic nie wiedziałam. Jechałyśmy wprawdzie obie do Persji, ale zupełnie inną trasą i w inne miejsca. Nigdy jednak nie zapomnę rozpaczy tych ludzi, którzy nie mogli wyjechać i zostawali w Rosji. Stali za ogrodzeniem i tak strasznie płakali, że serce ścisnęło się z bólu. Nic jednak nie można było im pomóc. Oni wiedzieli co ich czeka. Nie mogli pozostać w Kermine po zlikwidowaniu Delegatury Polskiej i musieli wrócić do kołchozów, a to było jednoznaczne z ciężką pracą, chorobami i śmiercią. I tak skończył się nasz pobyt na „gościnnej” ziemi radzieckiej, bo Uzbekistan był wówczas Republiką Radziecką.

Epizod perski



Jechaliśmy najpierw długo pociągiem do granicy z Turkmenistanem, a potem przeładowano nas na samochód wojskowy i dotarliśmy do Aszchabadu już w Persji. Jak długo ta podróż trwała nie bardzo wiem, bo, niestety, często wyłączałam się zupełnie, ale jakoś dojechałam żywa. Kiedy pociąg dotarł do Aszchabadu, miasta granicznego, wszystkie dzieci z sierocińca zostały wysadzone. Po odpoczynku w Aszchabadzie załadowano nas na wojskowe samochody ciężarowe i ruszyliśmy przez Góry Elbrus w dalszą drogę. Większość dzieci była chora i niezbyt dobrze znosiła tę podróż. Leżeliśmy na podłodze ciężarówki i bardzo boleśnie odczuwaliśmy wszystkie wyboje, a droga, którą jechaliśmy, była bita, bez asfaltu. W końcu dojechaliśmy do Meszhedu, pierwszego większego miasta perskiego. Umieszczono nas w sierocińcu polskim, który tu się znajdował i zrobiono selekcję. Sierocińcem opiekowali się już przedstawiciele władz polskich na uchodźstwie. Wszystkie dzieci chore ze mną włącznie natychmiast przetransportowano do szpitala.

Pewnego razu pojawił się w szpitalu dziennikarz wojenny Polak, pan Józef Czapski. Był chory i przyjechał na leczenie. Od razu zainteresował się nami, polskimi dziećmi tak bardzo pokrzywdzonymi przez los. Zaglądał do naszej sali, rozmawiał z nami i z naszym lekarzem. Rozmowy te znalazły odbicie w jego książce *Na nieludzkiej ziemi*: „Zachodzimy do Sali polskich dzieci. Są one prawie wszystkie z okolicznych kołchozów Kermine. Tropikalne upały w bezdrzewnych i bezwodnych osiedlach były dla tych dzieci mordercze. Głodomorki, wśród nich jest Basia Dymnicka, z przeraźliwie chudymi rękami i smutną surową twarzą, jej matka wyjechała do Iranu innym transportem, inną trasą i już wiele tygodni ciężko chore dziecko nic o niej nie wie”. Tyle Józef Czapski.

Był to szpital amerykański prowadzony przez amerykańskiego lekarza dr Cocrana. „Cały szpital jest bardzo religijny. Dziadek doktora Cocrana był pastorem w Tebrizie, ojciec lekarzem już w tym szpitalu, tak, że to trzecia generacja żyjąca w Iranie. W ciągu dnia w szpitalu słycać pieśni nabożne. Muzułmanie, protestanci, pracujący w szpitalu, mówią coraz to o Bogu.” Tak pisał Józef Czapski. Doktor bardzo serdecznie się nami zajął. Robił co tylko się dało, żeby nas wrócić do życia, ale nie zawsze się to udawało. Nade mną bardzo kiwał głową. „Główny lekarz coraz mniej wierzy w jej wyzdrowienie” mówiąc o niej coraz smutniej kiwa głową i milknie. Basia gaśnie powoli, odmawia jedzenia, ciągle się tylko dopytuje o matkę, o ojca, o którym również nie ma żadnych wieści. Ma chyba najwyżej 10 lat. Cieniutka twarzyczka, bardzo poważna, bez śladu uśmiechu” Józef Czapski.

Byłam chodzącym szkieletem, a właściwie nie chodzącym, lecz leżącym. Cała rodzina doktora pochylała się nad nami. W ładne ciepłe dni, zabierano nas do ogrodu doktora na leżaki. Tam usiłowały zabawić nas córki doktora. Przynosiły nam zabawki, obrazki dostawaliśmy polskie książeczki dla dzieci, ale prawie żadne z nas nie umiało czytać. Ja dostałam książeczkę *Koziołek Matołek*. Odwiedzali nas też różni ludzie, by sprawdzić, czy mamy dobrą opiekę i czy wracamy do zdrowia. Przynosili nam zabawki i smakołyki, których nam nie wolno było jeść. Powoli zaczęła się widoczna poprawa. Już zaczęłam wstawać z łóżka, samodzielnie chodzić. Dr Cocran cieszył się jak dziecko, bo trzeba przyznać, że jakoś szczególnie mnie polubił. Byłam bardzo smutna, bo nic nie wiedziałam o rodzicach. Nie wiedziałam gdzie są, czy mama jest zdrowa i jak ich odnaleźć. Leczone mnie kroplówkami i dietą jogurtową. Nie wolno mi było jeść nic poza jogurtem. Ale nie wszystkie dzieci wracały do zdrowia, niektórych nie udało się uratować. Kiedy poczułam się troszeczkę lepiej, wykorzystując moje minimalne umiejętności czytania i pisania posługując się egzemplarzem *Koziołka Matołka*, zaczęłam pogłębiać sama swoją edukację. Zupełnie nieźle mi to szło i ogromnie cieszyło. Było mi tam bardzo dobrze. Spałam w wygodnym łóżku, nie byłam głodna i tylko bardzo brakowało mi mamy.

Józef Czapski wychodził razem z nami do ogrodu doktorostwa. Tam rozmawiał z nami całymi godzinami. Do tych rozmów najbardziej upodobał sobie znowu mnie. Wyciągał ode mnie historię całego mojego życia, o którym zresztą chętnie mu opowiadałam. Lubiłam z nim rozmawiać. Moja mama, gdy jeszcze byliśmy razem zawsze mi mówiła, że gdybyśmy się kiedykolwiek rozłączyły, mam wszystkich naokoło prosić, aby poszukiwali moich rodziców. Tak też zrobiłam w rozmowach z Czapskim! Jego pobyt w szpitalu dobiegał końca i na pożegnanie obiecał solennie, że zrobi wszystko, co tylko będzie mógł, żeby moją prośbę spełnić. Po powrocie do Palestyny dał ogłoszenie w polskiej gazecie, że Basia Dymnicka znajdująca się w szpitalu w Meszhedzie poszukuje rodziców i oczywiście dał namiary na siebie. Ojciec mój ogłoszenie przeczytał i skontaktował się z nim. Efektem natomiast tych wielogodzinnych rozmów ze mną w ogrodzie doktora jest wzmianka o mnie w książce Józefa Czapskiego zatytułowanej *Na nieludzkiej ziemi*. Z Meszhedu dzieci polskie rozsyłane były po całym świecie. Jechali do Indii, do Afryki Pd. Nie wiadomo więc było, gdzie kogo szukać. Moja mama, która była już w Iranie, w Teheranie, rozpoczęła więc od PCK poszukiwania mnie i taty. To była wówczas najskuteczniejsza forma. Znalazła. Mnie w Meszhedzie, tatę w Palestynie. Rozpoczęła starania o ściągnięcie mnie do siebie. Mój kochany doktor nie bardzo chciał się zgodzić na wyjazd. Po prostu uważał, że nie jestem jeszcze na tyle zdrowa, ale skoro podróż miała mnie połączyć z mamą, zgodził się. Pożegnanie było bardzo rozczulające i łzawe. Jechaliśmy znowu autem wojskowym ciężarowym, ale zniosłam te 600 km ciężkiej drogi nienajgorzej. Wieczorem wjeżdżaliśmy do Teheranu. To duże miasto, pięknie oświetlone. Ogromny ruch na ulicach zrobił na mnie duże wrażenie, nie mogłam uwierzyć w cuda, na które patrzyłam. Zawieziono nas do jakiegoś ośrodka, w którym miałam przenocować, a nazajutrz spotkać się z mamą. Nie trzeba chyba mówić, że przez całą noc prawie nie spałam pomimo zmęczenia, byłam tak podniecona. Czekałam wyobrażając sobie nasze powitanie i naszą radość.

Nazajutrz rano usadzono nas wszystkich na scenie w ogromnej sali. Niecierpliwie czekaliśmy. Wreszcie zjawili się tak bardzo wymarzeni ro-

dzice. Kolejno wyczytywano nazwiska dzieci, podchodzili rodzice i zabierali swoje pociechy. Oczywiście obie z mamą ryczałyśmy jak bobry i trudno było się uspokoić. Było to bowiem spotkanie po trzech miesiącach rozłąki. Mama była trochę przerażona moim wyglądem. Pojechaliśmy od razu do miejsca pobytu mamy, czyli do Obozu nr 3. Ludność cywilna, która licznie przybyła do Persji, została ulokowana w trzech obozach. Wszystkie one znajdowały się w okolicy Teheranu. Nasz obóz o numerze trzy był rozlokowany w gaju, wśród drzew granatu i fig. Postawiono tam mnóstwo namiotów wojskowych, a spało się na łóżkach polowych. Oczywiście zaopatrzone nas w pościel, poduszki i koce. Znajdowała się tam również wspólna latryna, umywalnia z prysznicami, stolówka, kaplica i szkoła. Jedzenie było z kotła, prawie wojskowe, ale ja byłam jeszcze na ścisłej diecie i nie mogłam tego wszystkiego jeść. Wobec tego mama wybierała dla mnie tylko pewne elementy z tego zbiorowego żywienia. Cały obóz otoczono wysokim murem i chcąc dostać się doń trzeba było meldować się przy bramie strażnikowi, który pilnował wejścia. Pod bramą codziennie gromadził się spory tłumek Persów, którzy chcieli koniecznie coś kupić, albo coś sprzedać, albo umówić się z jakąś dziewczyną, bo Polki szalenie im się podobały.

Warunki życia nie były tu zbyt komfortowe, ale dla ludzi, którzy przeżyli pobyt na „niehumanitarnej ziemi” był to nieomal raj. Ogród, w którym rozlokowano nasz obóz, był własnością szacha Iranu Rezy Pahlawiego, który oddał go do dyspozycji Polaków. Zresztą był do nas bardzo przychylnie nastawiony. Moja mama była wówczas wychowawczynią w sierocińcu dla chłopców. Chłopcy powitali mnie najpierw waląc poduszką w głowę, a potem przychodzili po kolei przeproszać i oglądać, ciekawi jak wyglądam. A ja wyglądałam nieszczęśliwie. Byłam straszliwie wychudzona, same kości obciążone skórą i tylko sterczał mi wydłużony brzuszeczek jako pozostałość po żółtaczce i dyzenterii. Na głowie zamiast włosów miałam puszek i zapadnięte oczy. Byłam bardzo słaba. Ta poduszka to był oczywiście przypadek, przeznaczona była dla jednego z kolegów.

Mój stan wymagał stałej opieki, wobec czego mama zrezygnowała z pracy, aby się zająć mną. Uruchomiła dostępnych lekarzy z perskim

lekarzem włącznie. Gotowała mi osobno posiłki, ostrzygła mi ten nieszczęsny puszek na głowie i w takiej postaci przedstawiłam się ojcu, który przyjechał do nas na Boże Narodzenie. Wreszcie spotkaliśmy się wszyscy w trójkę i razem spędziliśmy święta. Po świętach tata wrócił do Palestyny. My zostałyśmy nadal w Obozie nr 3.

Do szkoły jeszcze nie mogłam uczęszczać, bo byłam zdecydowanie za słaba. Powoli jednak nabierałam sił i coraz bardziej stawałam się podobna do człowieka. Przyszła wiosna 1943 r, zaczęłam już chodzić do szkoły. Miałam dużo koleżanek, czułam się już całkiem dobrze i wszystko zaczęło układać się pomyślnie. Mama postanowiła, że dobrze by było połączyć się z ojcem. Trudność polegała na tym, że tato był wojskowym, a my cywilami. Stanęłyśmy więc przed Komisją Rekrutacyjną. Mama miała zostać tzw. „Pestką”, to była Pomocnicza Służba Wojskowa Kobiet, a ja junaczką i wyjechałybyśmy do Palestyny. Niestety, nic z tego nie wyszło, bo Komisja uznała, że ja nie nadaję się do wojska i nie przyjęto mnie. Równocześnie zaproponowano mamie posadę pocztowca w Isfahanie i tę propozycję mama przyjęła. Tym oto zrządzeniem losu znalazłyśmy się w transporcie jadącym do Isfahanu. Podróż była męcząca, bo jechało się półciężarówkami samochodami na twardych ławkach, a co najgorsze po bitych drogach. Nieresorowany samochód i ogromny kurz na drodze stawały się dość uciążliwe w trakcie tej 300 km podróży. W Isfahanie, pięknym starym mieście, mama zamieszkała w ładnym budynku, w pokoju z Anią Mikosz. Budynek ten znajdował się w ogrodzie, a mieszkali w nim osoby zatrudnione w administracji, czyli Delegaturze jak to się wtedy nazywało. Minusem okazało się dosyć duże oddalenie domu od centrum. Nie było tam też prądu ani bieżącej wody. Musiałam zamieszkać w internacie, bo takie panowały tam zwyczaje. W Isfahanie przebywało wówczas dużo polskich dzieci powracających ze Związku Radzieckiego, przeważnie sierot. Umieszczono je w tzw. zakładach. Był to rodzaj sierocińców połączonych ze szkołą. W zakładach grupowano dzieci według wieku i płci. Ja dostałam się do Zakładu nr 5. Usytuowany był on przy głównej ulicy Czterech Ogrodów, istniejącej zresztą do dzisiaj. Naprzeciwko mieściła się Delegatura. Wszystko to i tak było dla mnie okropne, bo chciałam być razem z mamą. Tę nową rozłąkę przeży-

wałam tak bardzo, że lekarz opiekujący się nami nakazał przeniesienie mnie do pokoju mamy. Wtedy szczęście moje było już pełne. Przestałam mdleć z byle powodu, lepiej się uczyć i w ogóle inaczej funkcjonować. Rano razem wychodziłyśmy – mama do pracy, a ja do szkoły, po lekcjach zaś czekałam, aż mama będzie wolna i razem wracałyśmy do domu. Zresztą z tym chodzeniem również był problem. Można było chodzić tylko grupami, bo samodzielnie spacerująca Polka narażona była na zaczepki i to czasem bardzo gwałtowne. Nie było mowy, bym sama mogła wracać po lekcjach. Było to zresztą po prostu niebezpieczne, uprzedzano nas zresztą o tym. Do naszego pokoju wkrótce przybyła jeszcze jedna osoba, a mianowicie córka pani Ani, Tereska, nieco młodsza ode mnie. Wszędzie chodziłyśmy więc we czwórkę. W wolne od pracy dni zwiedzałyśmy bajeczny Isfahan, a było co zwiedzać. Nie dość, że to bardzo stare miasto, to jeszcze dla nas takie szalenie egzotyczne. Oglądałyśmy muzea, meczety, pałace wszystko takie zupełnie inne niż u nas w Europie. Oczywiście i zwyczaje były inne. Kiedy nastawały ich muzułmańskie święta i ulicami przechodziły procesje rozfanatyzowanych biczowników, uciekałyśmy wtedy i chowałyśmy się, żeby ich nie drażnić. Te pochody biczowników były naprawdę groźne i przerażające. Gdy zbliżali się, a było ich słyhać już z daleka, ulica pustoszała. W pośpiechu chowano towary, zamykano sklepy na głucho, zasuwano żaluzje, a ludzie uciekali lub chowali się gdzie kto mógł. W pochodzie uczestniczyło zwykle kilkudziesięciu mężczyzn, rozebranych do pasa. Byli to zarówno młodzi jak i starzy, w rękę każdy dzierżył bicz, który składał się z kilku rzemyków, a każdy zakończony był metalową kulką. Raz za razem uderzali się tymi biczami wrzeszcząc równocześnie. Prawdopodobnie były to sury z Koranu. Oczywiście, po pewnym czasie zaczęli spływać krwią, twarze dzikie, nieprzytomne, a równocześnie cały ten pochód falował. Pod koniec biczownicy chwiali się, zataczali, a niektórzy po prostu padali. Był to widok naprawdę straszny.

Pewnego razu bardzo zadowolone i roześmiane kroczyłyśmy właśnie główną ulicą, gdy z za zakrętu wyłonił się taki pochód. Ze strachu po prostu zdrętwiałyśmy. Nie było gdzie uciekać, ani gdzie się schować i wtedy otworzyły się drzwi sklepu, przy którym stałyśmy i ktoś nas

szybko wciągnął do środka. Okazało się, że właścicielem sklepu był Ormianin, który gdy się zorientował w sytuacji postanowił nam pomóc i tylko powiedział, że jesteśmy głupie. W szkole uczyliśmy się według programu przedwojennego, a książki drukowane były w Palestynie, w drukarniach wojskowych. Całe wyposażenie szkolne dostawaliśmy w szkole i w związku z tym nie wolno było wrywać kartek z zeszytów, książki musiały być oprawione i w ogóle panowała duża oszczędność i dbałość o wszystko. Okazało się, że poziom mojej wiedzy wcale nie jest taki zły i po rozmowie z dyrektorką szkoły zostałam zakwalifikowana o klasę wyżej, pod warunkiem, że nadrobię niewielkie zaległości. Ponieważ rozpoczynały się wakacje, czasu na uzupełnienie braków miałam bardzo dużo i nowy rok zaczęłam w klasie wyższej. Pewnego dnia w szkole nastąpiło wielkie poruszenie. Okazało się, że przyjeżdża młody szach Iranu Reza Pahlawi. W uroczystościach powitalnych mieliśmy wziąć udział również my i podziękować za gościnę. Szach w związku z objęciem tronu wizytował po kolei cały kraj. W dniu wizyty cała nasza grupa wraz z Delegatem Rządu, który przyjechał z Teheranu, znalazła się na peryferiach miasta już rano. W grupie tej byłam i ja bo wytypowano właśnie mnie do przekazania szachowi kwiatów. Byłam pięknie ubrana w strój krakowski, który zupełnie nie wiem skąd mama wytrzasnęła, wyuczona króciutkiego podziękowania, które miało być tłumaczone, piękny bukiet spoczywał w wodzie no i czekaliśmy. Nie wiadomo było kiedy dokładnie przyjedzie, ale sądzono, że za jakieś dwie do trzech godzin. Czas mijał powoli, zrobiło się bardzo gorąco, a szacha nie było. Wreszcie po paru godzinach przyjechał na koniu Polak, który w stadninie szacha zajmował się końmi i towarzyszył monarsze w tej podróży z wiadomością, że był zamach na szacha. Na szczęście zamach udaremniiono, monarsze nic się nie stało i za jakiś czas nadjedzie. Przyjechał późnym popołudniem. Uroczystość się odbyła, kwiaty wręczyłam, ale wszystkie te poprzednie wydarzenia położyły się cieniem na powitaniu, a i my po całodziennym sterczeniu w upale byliśmy dokładnie wykończeni. Tak zakończyła się jedna z isfahańskich atrakcji. W szkole jeszcze długo komentowane były te wydarzenia.

Bardzo uroczyście obchodziliśmy wszystkie święta zarówno kościelne, jak i państwowe. Życzenia składano sobie zawsze takie same – żebyśmy następne święta obchodzili już w wolnej Polsce. W szkole zorganizowane było harcerstwo, uczyliśmy się, jak się zachowywać kiedy zaczyna się trzęsienie ziemi, jak się odnosić do Persów i jeszcze wiele innych przydatnych rzeczy. Wszyscy chodziliśmy na basen i uczyliśmy się pływać. Od czasu do czasu mamy zabierały nas do kina lub na lody do kawiarni, ale na to musiałyśmy sobie szczególnie zasłużyć. Udawaliśmy się do takiej maleńkiej kawiarenki, której właściciel był Ormianinem, i który nie miał nic przeciwko naszej obecności. W tych czasach bowiem kobiety perskie, czyli muzułmanki, do kawiarni i restauracji nie zaglądały. To był teren zastrzeżony dla mężczyzn. Kobiety na ulicę wychodziły szczelnie opatulone w czarczafy i nie bardzo mogły się udzielać publicznie. Z tymi właśnie zwyczajami rozpoczął wojnę młody szach. Był to bowiem człowiek wykształcony, zeuropeizowany i chciał trochę zmienić obyczaje panujące w Iranie. Miał jednak ogromną opozycję w duchowieństwie muzułmańskim, które żadnych zmian nie chciało. Co jakiś czas wybuchały zamieszki. Mężczyźni wychodzili na ulicę, wrzeszczeli, tylko my nie bardzo wiedzieliśmy o co chodzi, ale zawsze było bardzo groźnie. Pewnego razu, kiedy demonstrujący ludzie byli bardzo agresywni, chociaż nasz dom był otoczony wysokim murem, bałyśmy się tak bardzo, że poprosiłyśmy miejscową policję o pomoc. Nic się nie stało. Demonstranci pokrzyczeli i poszli sobie, ale byłyśmy półżywe ze strachu. Kobiety za zezwoleniem szacha zaczęły powoli zdejmować czarczafy, a nawet co odważniejsze zaczęły ubierać się po europejsku.

Kiedy po sześćdziesięciu latach odwiedziłam znowu Iran, to rzadko w mieście noszono czarczafy, za to wszystkie kobiety, z nami turystkami włącznie, nosiły chustki na głowach i czarne kaftany z długimi rękawami, a do tego albo spodnie, albo długie spódnice. O mini nie było mowy. Młode dziewczyny bardzo buntowały się przeciwko tym chustkom, ale nie miały odwagi chodzić bez, bo podlegałyby ogromnym karom. Nawet nam turystkom rygorystycznie nakazano nosić chusty.

Przed wakacjami 1944 r. mama została przeniesiona do Teheranu. Znowu odbyłyśmy tę samą podróż tylko w przeciwnym kierunku

i tym razem udało się jej ulokować w szoferce, a więc zdecydowanie wygodniej. W Teheranie zakwaterowano nas w willi, wynajętej dla pracowników szpitala, który znajdował się niedaleko. Willa była otoczona wysokim murem, jak zresztą większość tego typu budynków. Mieszkałyśmy w pokoju z trzema kobietami zaprzyjaźnionymi jeszcze od czasu pobytu w obozie trzecim. Na szczęście w willi znajdowały się też inne dzieci, więc zabawom nie było końca. Nastaly bowiem wakacje, czasu mieliśmy dużo i ochoty do zabawy też. Wokół willi był ogród z jakimiś mizernymi roślinami, a co najważniejsze niewielki basenik. Zrobiliśmy więc w nim porządek, wyczyściliśmy go, napełnili czystą wodą i całe dnie w nim spędzaliśmy. Można było nawet trochę popływać więc udoskonaliliśmy nasze umiejętności. Przygarnęliśmy nawet jakiegoś pieska i opiekowaliśmy się nim. Na obiady jeździliśmy do szpitala samochodem, który specjalnie po nas przyjeżdżał. Pewnego razu samochód nie mógł przybyć, postanowiliśmy więc całą grupą, same dzieci, iść na obiad pieszo. Kiedy oddaliliśmy się już nieco od domu, zjawiła się koło nas banda chłopaków perskich i zaczęli w nas rzucać kamieniami. Uciekaliśmy co sił w nogach. Na szczęście droga prowadziła wzdłuż angielskiego obozu wojskowego i jak żołnierze zobaczyli, co się dzieje, bo darliśmy się przy tym straszliwie, obronili nas i przepędzili łobuzów. Jeden z żołnierzy, Hindus, odprowadził nas nawet do samego szpitala.

Mama zaczęła pracę w szpitalu jako laborantka medyczna. Najpierw musiała się oczywiście poduczyć nowego zawodu, ale była bardzo zadowolona z nowej pracy. Szpital to obiekt wojskowy, należący do wojska angielskiego. Dla nas wydzielono jedno skrzydło i tam rządzą już tylko Polacy. Dużo ludzi chorowało, bo zaczęły się odzywać wszystkie niedomogi okresu radzieckiego i do tego właśnie szpitala chodziliśmy, a właściwie jeździliśmy na obiady.

Nasze kobiety cieszyły się ogromnym powodzeniem nie tylko wśród żołnierzy angielskich i amerykańskich, ale przede wszystkim u mężczyzn perskich. W naszej willi mieszkała młoda bardzo ładna dziewczyna z matką. Tę właśnie dziewczynę upatrzył sobie perski chłopak i nie dawał jej spokoju. Ciągle za nią chodził i nagabywał. Ona odpędzała się jak tylko mogła, ale to nie dawało żadnych efektów.

Wieczorami do późnej nocy widzieliśmy codziennie za murem żarzący się ogieniek jego papierosa. Po pewnym czasie wszyscy zaczęliśmy się o nią bać. Na pomoc przyszedł nam wojskowy angielski, przyjaciel jednej z dziewczyn. Wziął sobie do pomocy tłumacza Persa i jeszcze jednego kolegę i jakoś wytłumaczyli mu niechciane amory. Willa, w której mieszkaliśmy, była w miarę blisko szpitala, ale na uboczu przy maleńkiej bocznej uliczce. Po tym incydencie uznano, że nie jest to miejsce bezpieczne, zwłaszcza że mieszkały tam same kobiety. Wynajęto więc trzy małe piętrowe domki bliżej centrum przy ruchliwej ulicy i nazwano je Domkami Sióstr, mając na myśli pielęgniarki.

Zamieszkałyśmy na piętrze w pokoju z dwoma dziewczynami. Warunki nie były nadal luksusowe, bo nie dość, że nie było prądu, to woda znajdowała się w piwnicy i tam musiałyśmy po nią chodzić. Toaleta była jedna na całe piętro, ale sam pokój był dość duży. Wodę na herbatę gotowało się na prymusie. Mieliśmy tam też niewielki ogródek, a wszystko za wysokim murem. Czasami, zwłaszcza podczas dni wolnych od pracy, któraś z naszych współlokatorek namawiała swego przyjaciela i zabierali nas do Szemranu miejscowości pod Teheranem na kolację w restauracji albo do jakiegoś pięknego miejsca przy restauracji, gdzie było nieco chłodniej i w ten sposób zwiedzaliśmy też ciekawe zabytki, np. stare pałace.

Do szkoły codziennie odwożono nas samochodem, a potem przywożono do domu. Szkoła mieściła się w wynajętym maleńkim domu. W klasie znajdowało się od pięciorga do siedmiorga dzieci, wobec czego często w jednym pokoju gromadzono dwie klasy. W mojej klasie było nas siedmioro. Nauczyciele w tej sytuacji nie tylko codziennie mogli każdego odpytać, ale też doskonale nas znali i wiedzieli, co kto umie i co jest wart. Moja najmilsza nauczycielka, polonistka i wychowawczyni związała się z Persem. Jej mąż zginął w czasie wojny, sama więc z małą córeczką przeszła całą tułaczkę i postanowiła wyjść za mąż za oficera wyższego stopnia wojsk perskich. Wydawał się być Europejczykiem. Dobrze wychowany, nadszkakiwał im, niewątpliwie podniosły sobie znacznie standard życia codziennego. Mieszkały bardzo blisko nas w pięknym domu, a i z finansami było chyba całkiem dobrze. Bar-

dzo często zapraszała nas do siebie na podwieczorek, czy na próby, gdy przygotowaliśmy jakieś przedstawienie. Wiele lat później dopiero dowiedziałam się, że wszystko było pięknie, dopóki byliśmy w Iranie. Jak tylko wszyscy z wojskiem angielskim i amerykańskim włącznie wyjechali, małżonek perski zaczął wprowadzać swoje zwyczaje i tylko dzięki pomocy Ambasady Polskiej udało im się uciec i przyjechać do Polski. Wiele kobiet związało się z wojskowymi angielskimi czy amerykańskimi i wyjechało do ich ojczystych krajów.

Jedna z dziewcząt z naszego pokoju poznała gdzieś żołnierza amerykańskiego polskiego pochodzenia. Znał nawet język polski i zakochał się w niej do nieprzytomności. Niestety ona była ciężko chora i nie umiano sobie z jej chorobą poradzić. Postanowił więc, że się pobiorą i on wyśle ją do Stanów, a tam na pewno ją wyleczą. Ona nie bardzo chciała się zgodzić ze względu na swój stan, ale w końcu uległa i wzięła ślub w otoczeniu Polaków. Niestety, nie dojechała do Ameryki. Zmarła w czasie podróży. Takie to były różne historie, które w jakiś sposób docierały do nas, dzieci. Wreszcie do Teheranu przyjechał mój ojciec. Został przeniesiony służbowo. Mieszkał więc w ośrodku wojskowym, ale przynajmniej niedziele mogliśmy spędzać razem. Często zabierał mnie na zwiedzanie zabytków teherańskich, które organizowali u nich w wojsku. Gdy zwiedzaliśmy Archeologiczne Muzeum Narodowe, zrobiono nam zdjęcie na tle płaskorzeźby i popiersia Króla Dariusza. Jakież było moje zdumienie, gdy po sześćdziesięciu latach, gdy zwiedzałam to Muzeum oba eksponaty znajdowały się na tym samym miejscu i znowu zrobiono mi zdjęcie. Wszystko było po staremu poza wiekiem fotografowanej.

Wreszcie skończyły się wakacje i trzeba było wrócić do szkoły. Tym razem jednak rozpoczęłam naukę w gimnazjum. W mieście nie było takiej szkoły ze względu na małą liczbę dzieci, więc musiałam dojeżdżać do Obozu nr 3, co stwarzało trochę kłopotu, gdyż nie było regularnego transportu i często musiałam czekać na jakąś okazję. Byłam bardzo dumną gimnazjalistką, zwłaszcza że doszedł nam nowy przedmiot – łacina. Niedługo jednak trwała ta moja gimnazjalna edukacja, bo zbliżał się koniec wojny. Gdy został wreszcie ogłoszony, radość zapa-

nowała szalona. Wszyscy wylegli na ulice Teheranu. Całe wojsko stacjonujące tam, tzn. Polacy, Anglicy, Amerykanie i mniej liczni Rosjanie oraz cały tłum polskich cywilów. Radości manifestowanej bardzo spontanicznie nie było końca: wiwaty, życzenia i fajerwerki. Wszyscy mieli perspektywę powrotu do domu. Tylko nam przyszłość rysowała się niepewnie. Nie wiadomo było, co się z nami cywilami stanie, gdzie nas losy rzucią. Z Teheranu musieliśmy się wynieść i zaproponowano nam przeniesienie się do Libanu. Ojciec był jeszcze w wojsku, ale zezwolono mu na wyjazd razem z nami. W maju rozpoczęła się więc nasza bardzo długa, bo trwająca siedem miesięcy wędrówka. Jechaliśmy na południe Iranu nad Zatokę Perską do Basry, potem przez Irak do Bagdadu, przez Syrię do Libanu. Podróż trwała tak długo, bo ciągle jeszcze obowiązywały przepisy wojenne i w każdym kraju po drodze musieliśmy odbywać tygodniowe kwarantanny. W Basrze umieszczono nas na terenie amerykańskiego obozu wojskowego. Żołnierze byli bardzo z tego zadowoleni, urządzali stale potańcówki, seanse filmowe i bardzo adorowali nasze kobiety, ponieważ transport składał się prawie z samych kobiet. Jadaliśmy również w stołówce wojskowej najczęściej w messie oficerskiej.

Następny przystanek mieliśmy w Bagdadzie. Tym razem, ponieważ był to środek lata i temperatury bardzo wysokie, postanowiono zrobić przerwę nieco dłuższą. Zakwaterowano nas w dużej willi, otoczonej gajem palmowym z pięknie utrzymanym ogrodem. Byłoby to bardzo miłe, gdyby nie fakt, że siedzieliśmy na walizkach. Wykorzystywaliśmy jednak ten czas i zwiedzaliśmy wspaniałe zabytki Bagdadu. Pomimo upału organizowano nam wycieczki do najciekawszych muzeów. Ten czas kwarantanny nie był więc czasem straconym.

Epizod libański



Ostatni odcinek drogi odbyliśmy autokarem. Przejechaliśmy najpierw przez pustynię potem przez Syrię i Damaszek, tym razem tranzytem, dzięki czemu uniknęliśmy kwarantanny i wylądowaliśmy w Libanie na plaży koło Bejrutu. Rozlokowano nas w namiotach na skraju tym razem angielskiego obozu wojskowego. Zaczął się już wprawdzie listopad, ale ciągle było jeszcze ciepło. Nam dzieciom te spartańskie warunki wcale nie przeszkadzały, skoro mogliśmy biegać po plaży, kąpać się, grać w piłkę, którą pożyczyli nam żołnierze no i nie było szkoły. Po sześciotygodniowej kwarantannie rozwieziono nas do różnych ośrodków polonijnych. Ojciec musiał zameldować się w jednostce wojskowej w Bejrucie i tam został. My z mamą pojechałyśmy do miejscowości w górach oddalonej około 30 km od Bejrutu, do Ghaziru. To bardzo ładne małe miasteczko z białymi domkami, zlokalizowane na zboczach wzgórz. Zakwaterowano nas w pomieszczeniu znajdującym się na parterze ładnego domu należącego do miejscowego lekarza. Nasze pomieszczenie nie należało niestety do zbyt komfortowych. Wejście znajdowało się bezpośrednio z ulicy, nie było wody ani prądu, a ubikacja turecka znajdowała się po drugiej stronie domu. Aby z niej skorzystać należało wyjść na ulicę. Pozytywna strona tego lokum polegała na tym, że po raz pierwszy od wielu lat byliśmy jedynymi mieszkańcami. Na niedzielę przyjeżdżał ojciec z Bejrutu. Adres nasz opiewał – piąta serpentyna. Było to dość wysoko. Święta Bożego Narodzenia po raz pierwszy obchodziliśmy już we własnym gronie. Troska o wyżywienie spadła teraz na barki mojej mamy. Dostawaliśmy pieniądze, za które musieliśmy się utrzymać. Zakupy oczywiście robiliśmy w miejscowych sklepikach. Musiałam

wrócić do szkoły. Miałam pewne trudności z nadrobieniem zaległości spowodowanych przerwą wymuszoną długą podróżą. Klasy były niezbyt liczne, nauczyciele wspaniali, program realizowano przedwojenny. Podręczniki i lektury drukowały nam drukarnie wojskowe. Dużo czasu musiałam poświęcać na uzupełnienie zaległości, bo bardzo nie chciałam zostać cofnięta do niższej klasy, zwłaszcza że spotkałam znowu moją ukochaną przyjaciółkę z Isfahanu, która zresztą bardzo mi pomagała w moich kłopotach. Przyjemne to było życie w Ghazirze, chociaż mało komfortowe. Ojciec wystąpił z wojska i dołączył do nas. Teraz byliśmy już prawdziwą rodziną w komplecie. Powoli też zaczęli się pojawiać mężczyźni, którzy przeżyli wojnę i odszukiwali swoje rodziny. Tak zjawił się ojciec mojej przyjaciółki, który przez całą wojnę przebywał w oflagu w Niemczech i po wyzwoleniu zjawił się w Ghazirze, by zabrać rodzinę do Anglii. Nasi nauczyciele organizowali wycieczki, na których zwiedzaliśmy ten piękny kraj dawniej zwany Fenicją. Często chodziliśmy z rodzicami na spacery. Na szczycie naszego wzgórza znajdowała się ogromnych rozmiarów statua Chrystusa, górująca nad całym Ghazirem i tam właśnie najczęściej spacerowaliśmy. Chrystus był otoczony niewielkim laskiem sosnowym, co jeszcze dodawało uroku temu miejscu w kraju, gdzie przeważały krzewy laurowe. Na stokach rosły dzikie anemony i różnobarwne fiołki alpejskie, dzikie cytryny i pomarańcze. Pewnego razu zjawił się u nas w domu młody człowiek, fryzjer z miasteczka. Bardzo pięknie prosił o moją rękę, chciał się koniecznie ze mną ożenić. Mama dosłownie zdębiała, ale bardzo grzecznie mu wytłumaczyła, że jestem jeszcze zdecydowanie za młoda, a poza tym niebawem wyjeżdżamy. Potem jeszcze długo rodzice śmiali się ze mnie, że jeżeli nie będę grzeczna, to mnie oddadzą Josefowi. Miejscowi ludzie byli nam bardzo życzliwi i był to chyba najlepszy okres w czasie całej naszej tułaczki. Niedaleko od Ghaziru w górach znajdował się klasztor. Z klasztoru codziennie na osiołku przyjeżdżał stary człowiek i sprzedawał fiołki, które cieszyły się dużym powodzeniem. Okazało się, że był to klasztor, w którym zatrzymał się Juliusz Słowacki w czasie swojej podróży bliskowschodniej i tutaj napisał *Anhellego*.

Często odwiedzaliśmy ten ubogi zresztą klasztor. Wreszcie postanowiono uczcić ten fakt i bardzo uroczyście wmurowano pamiątkową tablicę. Zachował się zresztą pokój, w którym Słowacki mieszkał. Klasztor nazywał się Bethesz Ban. Czas szybko mijał i powoli zaczęto likwidować ośrodki polonijne w Libanie. Polecono nam wszystkim zastanowić się, dokąd chcielibyśmy się udać. Do wyboru było wiele krajów. Anglia, Ameryka Południowa i inne. Najmniej brano pod uwagę powrót do socjalistycznej Polski. Propaganda przeciw Polsce była bardzo intensywna. Straszono ludzi bardzo skutecznie. Tymczasem rodziny z Polski pisały listy i zachęcały do powrotu. Dylemat był naprawdę poważny. Wreszcie po długich naradach i dyskusjach moi rodzice postanowili jednak wracać do ojczyzny, za którą tak długo tęskniliśmy. Nie spotkało się to jednak z uznaniem zwierzchnictwa. W szkole zorganizowano wycieczkę celem zwiedzenia wspaniałego lotniskowca amerykańskiego, który stał na redzie portu bejruckiego. Pojechała cała klasa oprócz mnie. Mnie nie zabrano, bo byłam na liście wracających do Polski. Na odjezdne nie dostałam podręczników z danej klasy, chociaż był taki zwyczaj, że każde dziecko przy wyjeździe zabierało wszystkie swoje książki. Byłam tym wszystkim bardzo rozżalona i cieszyłam się już z rychłego wyjazdu.

Zbliżał się dzień wyjazdu i w kwietniu zostaliśmy zaokrętowani na statek. Z pokładu odpływającego statku żegnaliśmy gościnną ziemię libańską i udaliśmy się w ostatnią już podróż, po ośmiu latach tułaczki. Ze statku przesiedliśmy się do specjalnie podstawionego pociągu i przez Włochy, Austrię, Czechosłowację dnia 02.05.1947 r. dotarliśmy do Polski. Podróż trwała dwa tygodnie, ale tym razem mieliśmy już zapewnione miejsca leżące w wagonie z kuszetkami, dostaliśmy też osławione paczki z UNRRA. W trakcie podróży dostawaliśmy gorące posiłki no i przy okazji zwiedziliśmy co nieco, jak np. Wenecję, gdy pociąg musiał stać na boczniczy.

W Krakowie zjawiliśmy się na łonie rodziny i wreszcie byliśmy u siebie we własnym kraju. Na początku trudno było się zaadaptować. Zwłaszcza mnie, wszystko mnie dziwiło i zachwycało, nawet to, że wszędzie słychać było tylko polską mowę.

Wspomnienia te są relacją z tułaczki naszej rodziny widziane oczami dziecka. Zupełnie inne odczucia oczywiście na ten sam temat miałyby moja mama i ojciec i to na pewno znacznie bardziej dramatyczne. Zwłaszcza mama przeżyła prawdziwą gehennę i aż dziw, że z tego wszystkiego wyszła cała.

Mesched 15.

Droga i Kochana Pani.

Ogromnie się cieszę, że Pani będzie miała swoją Kochaną, Basienkę. Żatę, Kochana Pani co się namartwiałam o rękę Beni. Jedną nogę była na tym samym świecie, że rękę z tej choroby to tylko Bóg ją uratował. Lekarzy nie ma le. Dobrych, oprócz tej leca muremota w oserach. Gdy ja zobaczyłam w szpitalu muremota temu, opłakującą Basienkę, był to sukiet obłędny słowo. Dwa muremota ale widzi w mię. Zycie widać, że będzie żyła. Wysłatkę Pani tylko kwiety, gotowi. Dwa to drucik i muremota i jej je, to cud Pani Kochana. Chyba Pani widać że ma bardzo jedzenie, ale muremota chwała ma wola, dek. Żadne w oserach. Stała mi Pani na starych pełne serce. Ter i ta prosba o oprócz, co mogły miśtem. Wdnie dwa jej mi mogły o mi bo na wolno nam wyde i się z Jussienca.

List napisany przez moją wychowawczynię z sierocińca, która opiekowała się mną w czasie podróży z ZSRR do Persji. List został napisany, gdy opuszczałam szpital w Meszchedzie, żeby połączyć się z mamą

Pier uprositen Kriwomierli do Besi i
 miowu Panu luytan prenerione. Silciet-
 Drii jui lepij, dwo lepij, Grose ni
 mi martwic one jui powara do zdwara
 Martwa ni, la dwoje czijka, ale one taki
 jest rozgyliva re do Panu jedne i nie
 jej mi le dnie.
 Elam do Panu pros by, Do dui dwo o
 mzinu mi wem, prosy bardzo mozi Pan
 Panu jalkos polowacze gdui on jest i cy
 rzyje. Byt w Guzarach w marcu
 chorowat na tyfus mi wem cy umert
 cy wyjelhet. Byt w B. D. P. Honorowia
 Michat. Prosy mi pomagaj w odnaleniu
 ches iely On wie dnie re fa jady o corky
 do Indji. Rowem w latuje Panu
 serdecnie. Silciet re tu Panu me
 przyjechate, ale mi podobno tam.
 Jemu re latuje Panu
 Zyerli w Honorowia. Lm



Persja – Teheran, 1943 rok. Basia z mamą



Persja – Teheran, 15.09.1942 r.



Liban – Ghazir, 1946 rok. Figura Chrystusa górująca nad miejscowością



Ghazir, 1946 rok. Uroczystość odsłonięcia tablicy na pamiątkę pobytu Juliusza Słowackiego w klasztorze Bethesz Ban. Przemawia ks. Malinowski



Ghazir, 1946 rok. Klasztor Bethsz Ban pod wezwaniem św. Antoniego



Chór gimnazjum i liceum għazirskiego – odsłonięcie tablicy J. Słowackiego w klasztorze pw. św. Antoniego, Liban 28.04.1946 r.



Irak – Bagdad, 1945 rok. Basia z mamą w gaju palmowym



Bagdad, 20.10.1945 r.



Pod cedrem, który zdołało objąć osiem dziewcząt – Baalbek, Liban 14.07.1946 r.



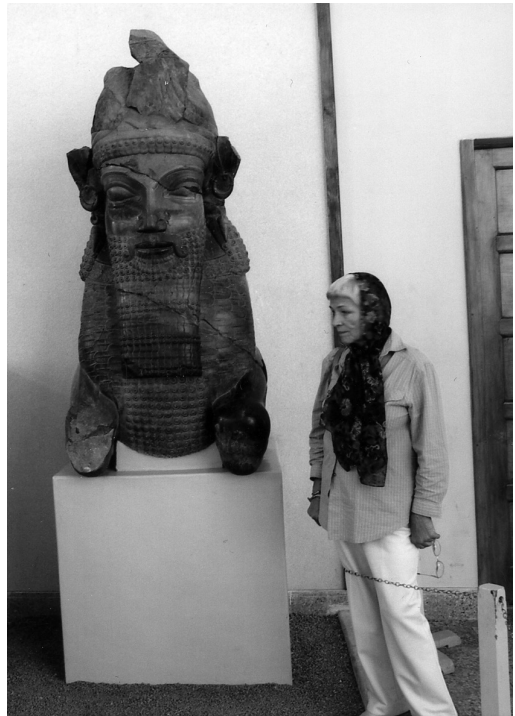
Klasa II gimnazjum z nauczycielką historii panią Goleniową – Ghazir, Liban



Teheran 1945 rok, Muzeum Archeologiczne. Basia z grupą wojskowych



Teheran, 1945 rok. Muzeum Archeologiczne



Teheran, Muzeum Archeologiczne 60 lat później



Teheran, 1945 rok

BIURO OPIEKI
NAD RODZINAMI WOJSKOWYCH

Wzrostu dn. 6-VIII 1942

Wyjazd do Iranu

Pan (i) Dymniera Halina c. Władysława

Legitymujący (a) się Sprawka № 562/k.k. z dn. 12.VI.41r.

wpisany (a) jest do spisu wyjeżdżających pod L. p. 41/5

a jego (jej) rodzina pod 12. p.
razem osób (podać słownie) jedna

podpis wystawiającego



DOWÓDZTWO JEDNOSTEK WOJSKA
NA ŚRODKOWYM WSCHODZIE
Wydział Pers. Szereg.
L. dz. 2206 / Szer. Og/4

M. P., dnia 30 listopada 1945 r.

Z A Ś W I A D C Z E N I E .

Stwierdzam, że starsz. DIMITRI BOLESŁAW 1894/8/IV.
pełni służbę w Armii Polskiej na Wschodzie
Zaświadczenie niniejsze wydaje się dla celów służbowych do użytku
Delegata M. P. i O.S. w Belugie.
Adres pocztowy wymienionego brzmi :

Polish Forces ME.

Nr . 202 . . .

XXXXXXXXXX

SZEF WYDZIAŁU PERS. SZEREG.

B U D R Y K

ppk.

POŚLSTWO R. P.
W TEHERANIE
Nr. 13302/43
Dn. 8 / 5 1944 r.
Wzrost 1,65 m
Ciężar ciała 42 kg
Pobrano Kr. 50 zł

Nr 13302/43



RZECZPOSPOLITA POLSKA
RÉPUBLIQUE POLONAISE

PASZPORT - PASSEPORT

Obywatel polski } DYMNICKA
Citoyen polonais } Halina

zamieszkały w } Tsfahan
domicilié à }

w towarzystwie żony } -
accompagné de sa femme }

i } jedno } dzieci
et de } ur } enfants

Paszport ten zawiera 24 stron
Ce passeport contient 24 pages

10

Stemple polskiej kontroli granicznej
Estampilles du service de contrôle
à la frontière polonaise

Wyjazd - Sortie	Wjazd - Entrée

WIZY - VISAS

Mme Halina DYMNICKA
et sa fille Barbara

Consulat de France à Téhéran

VISA D'ENTRÉE
no 212
utilisable pour le franchissement
de la frontière
jusqu'au 20 Octobre 1945

Valable pour un seul voyage
et un séjour en France
SYRIE ET LIBAN
de Six mois
à dater du passage à la frontière française.

Motif du voyage : vacance
polonaise

à Téhéran, le 20 juillet 1945

Le Ministre Plénipotentiaire
Guinard

Accordé à la demande de la République de Pologne

„Irański” paszport mojej mamy

Wycieczka do Włoch 11–16 marca 2013 r.
z Agencją Turystyczną ARION państwa
Doroty i Krzysztofa Radwanów



Monte Cassino, 15 marca 2013 r., Barbara Ciaputa, Mieczysław Zygmunt
Kamieński, Alicja Błocka – słuchacze UTW





Monte Cassino, 15 marca 2013 r.



Rzym, marzec 2013 r., uczestnicy wycieczki



Rzym, marzec 2013 r.

Józef Czapski





Józef Czapski (1896–1993) malarz, krytyk sztuki, publicysta, major WP, uczestnik wojny polsko-bolszewickiej 1919–1921 r.

Zmobilizowany we wrześniu 1939 r., 27.09 został wzięty do niewoli i więziony w obozach jenieckich ZSRR, internowany w Starobielsku i Griazowcu. Na mocy układu Sikorski-Majewski został zwolniony w 1941 r i wstąpił do tworzonych Polskich Sił Zbrojnych (armii Andersa), gdzie zajmował się, bezskutecznym poszukiwaniem „zaginionych” oficerów polskich w ZSRR – jak się okazało w kwietniu 1943r., ofiar zbrodni

katyńskiej. Przewędrował szlakiem 2 Korpusu przez Bliski Wschód do Włoch.

W latach 1942–1947 spisał swoje wspomnienia, przeżycia z czasu kiedy był więźniem łagrów, z trudnych miesięcy tworzenia Wojska Polskiego, wyprowadzenia żołnierzy i ich rodzin z Rosji do Iranu.

Po wojnie wydał książkę pt. *Na nieludzkiej ziemi** będącą świadectwem o zamordowanych i prawdą o okrucieństwie: przemocy, wygłodzeniu, wyniszczeniu i nieludzkim traktowaniu wysiedlonych półtora miliona Polaków w głąb Rosji. Od 1946 r. mieszkał we Francji „gdzie współtworzył i redagował paryską „Kulturę”, a także malował.

Zmarł 12 stycznia 1993r. Został pochowany na cmentarzu w miejscowości Le Mesnil-le-roi, obok Maisons-Laffitte.

* J. Czapski, *Na nieludzkiej ziemi*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2011. Przytoczone cytaty pochodzą z tego wydania książki.

O spotkaniu z Basią Dymnicką, Józef Czapski tak pisze w *Na nieludzkiej ziemi*:

„(...) Aszchabad – stolica Republiki Turkmeńskiej i miasto graniczne (...) W Aszchabadzie przebywałem dobę. Poza ludźmi oficjalnie kierowanymi do przerzutu do Aszchabadu szedł wówczas również „dziki” dopływ Polaków.

W Domu Sowietów mieszkał wtedy płk Perkowicz. Z paru oddanymi pomocnikami, z garstką kierowców prowadził ewakuację Polaków do Iranu, wykorzystując każdą możliwość, by jeszcze, poza ustaloną, umówioną z władzami liczbą, dorzucić, precyzyjnie trochę polskich dzieci i kobiet, które w obozie czekały z obłądną, namiętą nadzieją, że ujdą z Sowietów.

W trzecim tomie *Monte Cassino* Wańkowicza tenże płk Perkowicz, kierownik ewakuacji w Aszchabadzie z 1942 r., uczestnik walk pod Monte Cassino w 1944r. opowiada autorowi, jak Narkom Turkmeńskiej Republiki nagle kazał wstrzymać tę ewakuację, bo zostało stwierdzone, że liczba tej drugiej ewakuacji przekroczyła ustalone 70 000, że doszła do 79 000. Jak trzy godziny chodził, nie decydując się skręcić do stacji zbornej Polaków, gdzie czekały pełne obłądnego niepokoju oczy, jak zastanawiał się przez trzy godziny, co powie tym ludziom, i jak nic nie wymyślił, i jak im powiedział bez osłonek, i jaka wybuchła rozpacz, i jak tam siedzieli całą noc i płakali, i on płakał z nimi – bezradny. Płk Perkowiczowi udało się wówczas jeszcze „precyzyjnie” 110 osób. To było wszystko, a reszta Polaków skupionych w obozie ewakuacyjnym Aszchabadu, prawie wyłącznie kobiet i dzieci, musiała udać się z powrotem na dawne szlaki głodu i poniewierki. (...)

(...) Rozmawiam sporo z sierotami. Każde opowiada o sobie z zupełną ufnością.

– Gdzie twój ojciec?

– Nie wiem.

– Gdzie mama?

«Umarła» albo «Została w kołchozie» – «Nie puścili» (ta odpowiedź jest najczęstsza). Jakim cudem wysiłku, nieustannej troski

i szczęśliwych w nieszczęściu okoliczności te dzieci żyją, nie leżą jak dziesiątki tysięcy innych – kruche szkieleciki w beztrumiennych płytkich grobach Rosji, Syberii czy Turkiestanu. Przypominam sobie Buzuluk zimą, jakąś epidemię, na którą umarło wtedy kilkadziesiąt naszych dzieci tylko dlatego, że nie było lekarstw.

Ruszamy ku góróm asfaltową szosą, po jakimś czasie jesteśmy u szczytu grzbietu, który stanowi granicę persko-sowiecką, Gałdan 30 km od Aszchabadu, 2000 m n.p.m. Rewizja w Gałdanie jest nadzwyczaj dokładna. Dzieci chodzą po izbie celnej. Wiele portretów wisi na ścianie, jest Marks i Lenin, Engels, jest Mołotow i naturalnie Stalin. Mały ośmioletni Michaś tak drobny, że nie dałbym mu więcej niż 6 lat, w chwili przerwy i nieobecności celnika wyszukuje Stalina i wznosi ku twarzy dyktatora swój ściśnięty kułaczek. Jeden ze starszych chłopców strofuje go poważnie, że nie ma sensu tego robić, że może kto z celników zobaczyć, ale Michaś bynajmniej się tym nie peszy i wcale nie wygląda przekonany. Dla mnie ten dziecinny kułaczek wzniesiony na wszechpotężnego dyktatora to moje ostatnie wrażenie przed opuszczeniem Związku Sowieckiego (...).

(...) Jesteśmy w Iranie – odruchowo żegnam się, czuję przyjacielski uścisk ręki szofera na moim ręką, mówi mi: NO CÓŻ, PANIE ROTMISTRZU, JUŻ MA PAN RAJ POZA SOBĄ.

– No, no, żeby nie jeden człowiek, to byśmy tu wszyscy zgnili – dodaje po chwili.

(...) W nocy docieramy do Mszchedu; półprzytomne ze snu dzieci i ich opiekunki odwieziono do polskiego zakładu dla dzieci, skąd już dalej miały być przerzucone do Bombaju (...)

(...) Etap sowiecki się zamknął. Od rana szukam kajetu, by nie pisać w tym samym co w Sowietach. Będę mógł nareszcie pisać bez strachu rewizji to co pamiętam.

Mnie wyznaczono kwaterę w «najlepszym» hotelu. Leżąc na wąskim łóżku w moim pokoiku mszchedzkim, robię rachunek lat ubiegłych. Dlaczego ja właśnie jestem jednym z 78 żywych na 4000 kolegów starobielskich, gdy cała reszta zaginęła bez śladu. Już pierwszego dnia po przyjeździe do Mszchedu odwiedziłem naszą ochronkę. Zakład dla dzieci polskich (jest ich w zakładzie 240), świetnie zorganizowany i zaopatrzony.

Już kilka transportów poszło do Indii. Coraz to nowe, zwykle po nocy, przychodzą z Rosji. Zdrowsze, dzieci wysyła się, jak tylko można, dalej, tu pozostają słabsze, do dalszej uciążliwej drogi niezdolne. Dzieci, których stan jest bardzo poważny, odsyła się do wspaniałego amerykańskiego szpitala, który istnieje tu w Meszchedzie od wielu lat.

Tego samego dnia odwiedziłem również szpital amerykański. Prowadzony jest od 25 lat przez doktora Cocrana.

Zachodzimy do sal polskich dzieci. Są one prawie wszystkie z okolicznych kołchozów Kermine. Tropikalne upały w bezdrzewnych i bezwodnych osiedlach były dla tych dzieci mordercze. Głodomor-ki, wśród nich jest **Basia Dymnicka**, z przeraźliwie chudymi rękami, i smutną surową twarzyczką. Jej matka miała wyjechać do Iranu innym transportem, inną trasą i już wiele tygodni ciężko chore dziecko nic o niej nie wie (...)

(...) Bronchit, silna gorączka – przewieziono i mnie do amerykańskiego szpitala i umieszczono w oddzielnym pokoju.

Tutaj ze świetnej starannej opieki lekarskiej, z czujności nieustannej całego personelu, z bogactw leków, z nadzwyczajnej czystości korzystają wszyscy chorzy: liczni Persowie, polskie dzieci z Rosji, a teraz jeszcze i ja. Jak tylko gorączka zaczęła mi spadać, zostałem zaproszony na trawnik do doktorskiego ogrodu, gdzie całe dni spędzałem na leżaku. W cieniu wielkich drzew był rozłożony wiśniowy dywan, a naokoło na leżakach leżały nasze najbiedniejsze dzieci. Córeczki doktorów i dwie córki pastora przynosiły im co dzień jakieś prezenty: kolorowe obrazki, sok z pomidorów, gęste kakao z mlekiem, pomysłowe zabawki.

Ale dzieci są smutne, jakby przedwcześnie stare, żadnego uśmiechu, grymaszą, jedzą jak z łaski albo odmawiają, wynędniały do ostateczności, szepczą jeszcze tylko między sobą, wymieniając podarowane obrazki. Obok mnie na leżaku ułożono dziewczynkę, którą już przy pierwszej wizycie w szpitalu zauważyłem **Basię Dymnicką**. Główny lekarz coraz mniej wierzy w jej wyzdrowienie, mówiąc o niej, coraz smutniej kiwa głową i milknie. Basia gaśnie powoli, odmawia jedzenia, ciągle się tylko dopytując o matkę, o ojca, o którym również nie ma żadnych wieści. Ma chyba najwyżej 10 lat, cieniutka twarzyczka bez śladu uśmiechu.

Gdy jej tłumaczę że musi jeść, że musi do zdrowia wrócić, być silna, odpowiada tylko:

Ot, gdyby moja mamusia wróciła ... – i nie domawia, ale czuję w akcencie głosu: – Wtedy bym na pewno wyzdrowiała.

Stawiam dziewczynce parę pytań. Zaczyna opowiadać bez gestu i aż dziwnie rzeczowo, jak dorosła, z jakimś oderwaniem.

– Bo my jesteśmy z Brzeszcza...

(...) Jak była wojna, to rodzice pojechali z nami do Lwowa, a stamtąd to nas wywieźli do posesji Wasilewo, w Archangielskiej Obłasti... Kiedyśmy się dowiedzieli, że się robi wojsko polskie, to my wszyscy postanowiliśmy jechać. A jak nas prosili, żebyśmy zostali, mamie obiecali, że będzie kierowniczką żłóbka, i jeszcze mówili: Budietie pomnit, kak waszi dieti z gołoda budut umirat –(dziewczynka mówi to czystym językiem rosyjskim). Ale my nie. Wszyscy jadą, jakże my zostaniemy. Dwa tygodnie jechaliśmy tratwą do Krasnoborska, całe 100 kilometrów, a potem statkiem do Kotłasu, a tam pociągiem do samego miasteczka Kasan, w Bucharskiej Obłasti (...)

(...) Kiedy z Kotłasu jechaliśmy pociągiem, to mnie siostra umarła, bo miała odrę i zapalenie płuc. Ja też byłam chora, miałam 40 stopni gorączki i nie wiedziałam, że siostra nie żyje. No a teraz nie ma mamusi (...)

(...) Gorączka moja minęła, wracam do zdrowia. W dzień mego wyjazdu ze szpitala wyszedłem do ogrodu, by się ze wszystkimi pożegnać, ale na trawniku nie było ani Lopka z kokluszem, ani **Basi Dymnickiej**. Obojgu doktor zakazał schodzić od paru dni, bo byli coraz słabsi.

Wróciłem do szpitala, do salki dziecinniej.

Basia leżała pod oknem. Jej uśpiona wąska twarzyczka z delikatnymi niebieskimi żyłkami, przezroczystym czołem, miała wyraz umęczony, długie blade rączki złożyła na kołdrze.

Jasne blond włosy były wystrzyżone jak u rekruta. Nad łóżkiem przy oknie umieszczono mały rezerwuarek emaliowany biały z długą rurą gumową. Tą lewatywką, kropla po kropli próbowano odżywiać gasnące siły dziecka. Basia przez sen cicho jęczała. Nie śmiałem jej zbudzić, wyszedłem na palcach (...)"